# POSLKA INWALIDOM

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK II. WASZAWA, LIPIEC 1927. № 6.



JULJUSZ SŁOWACKI.

## TESTAMENT MÓJ

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi kto szlachetny nie był obojętny,
Dziś was rzucam i dalej idę w cień, z duchami,
A jak gdyby tu szczęście było, idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia;
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla Ojczyzny sterał moje lata młode,
A póki okręt walczył, ja stałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę.

Ale kiedyś, o smętnych losach zadumany
Mojej biednej Ojczyzny, przyzna kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą:
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb oraz własną biedę!
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam: niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec...
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie, ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść? taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic, tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi!



# POWRÓT ZWYCIĘZCY

Noc niewoli, — która była upokarzającą i straszliwą klęską autora „Kordjana“, która gięła jego dumną głowę, a buntowny płomień rozpalała w sercu—dziś nie istnieje. W łunach najstraszliwszej z wojen, z potoków krwi, z gruzów i popiołów, ponad mogiły setek tysięcy zabitych i pomordowanych, ponad powojenny chaos i ruinę wzbił się purpurowy polski świt, zrodził polską armję i mieczem nowe zakreślił granice:

„Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec“.

Ale tej wspaniałej chwili nie doczekał najdumniejszy z polskich pieśniarzy. Pojony za życia smutkiem i goryczą, nieszczerością i typową polską nieufnością, zgasł cicho, jak przedwcześnie zgaszona pochodnia, i spoczął w obcej, choć gościnnej, ziemi, wśród przeraźliwej, zaiste, ciszy i chłodnego zapomnienia. A czasy szły. Szły lata groźnych zmagań, krwawych buntów i straszliwych klęsk, lata bujnego żywota ludzkiego. W proch szary szło ciało *nieśmiertelnego*, lecz jego myśl ognistym słupem dźwigała się wyżej i wyżej ponad świadomość narodu. I w świadomość narodową weszła, w krew narodu wstąpiła, cząstką jego duszy się stała, by trwać i żyć, by być *nieśmiertelną*.

Byliśmy świadkami chwili podniosłej i uroczystej, dnia i godzin tak niezwykłych, tak pamiętnych! Gdyż godzina taka bije na zegarze wieków raz zaledwie na wiele, wiele lat! Spełniliśmy, wedle słów Pana Prezydenta Rzplitej „przedewszystkiem akt sprawiedliwości w stosunku do wielkiego człowieka, którego los skazał na wygnanie i nędzę“. Uczyniliśmy zadość upokarzającemu dla naszej dumy narodowej wspomnieniu żebraczego niemal pogrzebu w słotny odwieczerz obcego miasta. Na miejsce ubożuchnej trumny kładziemy sztandar narodowy, kładziemy purpurę, i marmury, i wieńce. Na miejsce przeraźliwej ciszy i opuszczenia stanowimy bicie wszystkich dzwonów, salwy i pochylenie przed nim wszystkich sztandarów“.

Tak oto stał się *zewnętrzny* triumf wielkiego poety i samotnika, słonecznego króla duchów i władcy nieśmiertelnego piękna. W uroczystej ciszy i w uroczystem skupieniu szły Jego prochy szlakiem całej wolnej Polski — na nowe, wielkie i przejasne, i może jeszcze niezupełnie zrozumiane zwycięstwo.

Tak, to jest ten triumf zewnętrzny, niezapomniany i ważny, lecz jeszcze nie najważniejszy. Bo oto dzień Jego powrotu jest, niestety, dniem czasu, w którym cele materjalne ponad wszystko stały się ważne, w którym mała i szara powszedniość panuje bodaj wszechwładnie, nad zleniwieniem ducha. Bo miał Słowacki słuszność, upatrując w zleniwieniu ducha grzech największy i wszelką hańbę rodzący. Tego grzechu nietylko historja, tego grzechu i los straszliwy i Bóg miłosierny narodom nie wybacza. Niechże więc powrót zwycięzcy będzie jeszcze jednym znakiem, jeszcze jednym dzwonem, budzącym moce uśpione w narodzie!

* * *

Bo trzeba nam pamiętać także i o tem, że słowa: idea niepodległości z nazwiskiem Słowackiego zestawiać niepodobna. Tworzą one nierozerwalną całość. Krew wieszcza w rytmach Jego pieśni rwała i szarpała się i biła tętnem najwznioślejszych uniesień narodu. Olbrzymia, lwia niemal część Jego przebogatej i genjalnej twórczości toć przecie nic innego, jak jeden wspaniały hymn o Ojczyźnie, hymn opowiedziany i wyśpiewany najpiękniejszym językiem, jakiemu niema nic równego na przestrzeni wieków aż po dzisiaj. Fizyczna śmierć wzięła go wtedy, gdy pracą swą niesłychaną i podźwignięciem ducha ofiarnem stał się Królem Duchem narodu, tworzącym świetlany gmach Twórczej Myśli i Potęgi Woli. I ta siła po Nim została. Ona—to, niby światło niełudzące wśród nocy, świeciła nam na szlakach niewoli, dźwigała pokolenia bojowników, walczyła czynnie i bezsennie i wbrew wszelkiej nadziei o niepodległość naszego Ducha i naszej Ojczyzny. Zjednał sobie czystą i płomienną młodzież, dając jej tęsknotę do wielkiej i świętej walki. On — to wzywał do walki, jako do jedynej drogi wyzwolenia, i nie pozwalał oddawać sprawie „pół duszy“. Nie idealizując przeszłości narodu, nie schlebiając pysze i kłótniom emigracji, potrafił dziełem swoim prowadzić ku nowym dniom, z nizin na wyżyny słoneczne i piękne!

I jest nam dziś droższym, — o, stokrotnie droższym, niż swoim współczesnym, niż naszym wczorajszym, On, — Duch Walki i Piękna,—On, który wołał:

„A potem kraj nasz wolny! Potem jasność dniowa,
Polska się granicami ku morzom rozsztzela,
I po burzliwej nocy oddycha i żyje!
Żyje! — Czy temu słowu zajrzeliście w duszę?“

Nie zajrzeli owi współcześni, nie zajrzeli ci wczorajsi, jeszcze się wśród nas błąkający, nie zajrzeli niektórzy „wielcy“ naszego polskiego świata, — ale zajrzeli ci szarzy i zapomniani, ci, którzy krwią własną i wolą Ducha kowali nasze granice. Oni — to z głębi duszy, z dna serc najszczerszego pozdrawiali prochy wracającego Zwycięzcy, chyląc kornie czoła i w prawdziwem wzruszeniu modląc się u Jego trumny. Oni tylko jedynie, którzy duchem obcowali z Duchem Wieszcza, stali poza pstrym tłumem ciekawych, i rozumieli *Powrót Zwycięzcy*.

„Szumcie! szumcie więc morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma.
— — — — — — — — — —
..... Nigdy, nigdy nie szedłeś wśród jęku
Z tak ogromną bezśmiertnych powagą
I mocą, i z tak dumnem obliczem,
Jak dziś wielki! gdy wracasz tu niczem“.

Spoczniesz, Zwycięzco, wśród królów na Wawelu. Prastary Zygmunt uroczystą pieśnią dźwięków powita Twe prochy ziemskie. A dzieło Twe nieśmiertelne iść w wieki będzie i oby do końca wypełniło swe olbrzymie zadanie i przeznaczenie.

*Żet.*

27/VI 1927 r. Warszawa.

# WOJNA.

Kiedy się zaczynała, to entuzjazm wybuchł
Urządzano pochody, krzyczano namiętnie.
Zgorączkowane twarze patrzyły przez szyby
Na miasto rozszalałe, wesołe, odświętne.

A potem była cisza — skwarne dni lipcowe,
Czy może mroźny grudzień — nie wiem. Na ulicach
Zastukały miarowo kompanje marszowe,
Po zaułkach się snuła krwawa tajemnica.

I przez długie miesiące w okien szybach czarnych
Zrzadka, trwożnie migały smutne ludzkie twarze
Tylko kiedy przyjeżdżał pociąg sanitarny
Tłum się zbierał na cichych ulic trotuarze.

A gdy zawarto pokój, to znów było święto
I znów wybuchł entuzjazm dziki, niespokojny
Powracające wojska kwiatami przyjęto
I było tak wesoło, jak w pierwszym dniu wojny!

Tylko w sierocych domach zabitych żołnierzy
Co spoczęli w dalekim i nieznanym grobie
Czekano bezsensownie nie chcąc prawdzie wierzyć
I modliły się płacząc kobiety w żałobie.

*Michał Ochorowicz.*

# WIZJA.

Niebiosa się błękitne chmurzą,
Wiatr chłodny wieje od zachodu,
Stulone kwiaty drżą od chłodu —
Przed nadchodzącą burzą.

Wtem szept się zerwał wśród ogrodu.
Wstrząsnęły dreszcze dziką różą.
Kwiaty złociste oczy mrużą
Sieczone gradem lodu.
. . . . . . . . . . . . . . .

Patrz! Tam samolot ponad chmury
W błękit się wszył podobny igle.
Fantazji rumak srebrnopióry
I człowiek-ptak, ze świata gońce.
Zwycięstwa szal im siadł na śmigle
I świecąc, lecą w słońce!

*Michał Ochorowicz.*




## Część trzecia: HALUCYNACJE.

Była jesienna pochmurna noc.

Nad sennem miastem w szarych, kłębiastych obłokach wisiała lampa księżyca, i mleczne, raz wraz przesłaniane, blaski łamały się fantastycznie na domach i rzucały fantastyczne cienie. Wąską, krętą uliczką dochodziliśmy właśnie do jakiegoś placyku, gdy na nowo ogarnął mnie niepokój i dziwne, drżące znużenie. Szedłem pierwszy. Przystanąłem więc i powiedziałem:

— Którędy ty mnie wiedziesz? Doprawdy, dziwne wybierasz drogi. Ciemno tu, pusto i niesamowicie. Jakieś tylko cienie, jak larwy, przesuwają się koło mnie.

Starzec odpowiedział:

— Idź śmiało. Nic ci tu nie grozi. Nie bałeś się słońca, czemuż to lękać się masz ciemności? Idź śmiało. Przodem. Ty młody.

Przywykłem już do jego górno-chmurnych powiedzeń. Uśmiechnąłem się i ruszyłem naprzód. Byłem dziwnie spokojny, prawie obojętny. W tej chwili nie było we mnie nawet ciekawości.

Uliczka stromo schodziła wdół i wybiegała na niewielki placyk, skąd znów różnemi drogami można było maszerować ku centrum miasta. Na placyku był szynk. Był jeszcze oświetlony i dochodziły zeń odgłosy pjanej wrzawy...

Oszklone drzwi tego szynku, świecące mętnem, czerwonawem światłem, otwierały się co chwila z brzękiem i hałasem — wychodziła z nich jakaś mroczna postać i głośnym dudniąc krokiem znikała w czeluściach uliczek.

O kilka kroków przedemną, na skraju trotuaru, siedziała nędznie odziana dziewczyna, która schrypniętym, zgrubiałym głosem, półnucąc, coś sobie czy tej cichej nocy opowiadała.

Usłyszałem:

Pijana jestem, pijana... Ohydna była ta wódka... I nikt się na mnie nie spojrzał, nikt za mnie nie chciał zapłacić... Brzydka już jestem i stara, i zwiędła, jak stare jabłko. Nikt nie lituje się doli, nikt już mnie nie chce na chwilę. Na chwilę jeno, na chwilę, lecz z chwil się składa to życie! Chwila jest dobrem i szczęściem, chwila jest trwogą i grzechem, i chwila bywa nieszczęściem. Pijana jestem, pijana... Ohydna była ta wódka!

Spostrzegłszy mnie, zaraz wstała, pod boki się ujęła i wyzywająco na bok przechyliwszy głowę, przytomniej zapytała:

— A tyś co za jeden? Byłeś tu już kiedy?

— Nie wiem — odparłem prawie nieśmiało — zdaje się, że nie byłem.

— He! he! Pewnie byłeś, tylko już nie pamiętasz. Czegóż się tak patrzysz, noo? Nie bój się, zbójem nie jestem, krzywdy ci nie zrobię, mój piękny chłopczyku. No, daj papierosa!

Podałem:

— Proszę. —

— Dja. A ognia?

— Proszę. —

— Dja. Nie musisz ty być drań, skoro się tak po nocy włóczyć tu nie boisz, i skoro ze mną tak grzecznie, tak po pańsku gadasz. A dobre masz papierosy... ho! ho! takie pachnące... No, powiedz mi... Ty ładny jesteś... Miałeś dziś kobietę? Gorąco ją brałeś, hę? Ty młody! Ha! ha! ha! Nie? Nie miałeś dziś kobiety? To ty dziś silny jesteś, co? Lubię młodych! Hu! hu!

— Przestań! —

— Co? przestań? miły chłopczyku! Ja jeszcze nic nie zaczynałam! Ho! ho! Nie stałbyś ty dawniej przy mnie tak spokojnie. Miałam ja czarne oczy, dziś mgłą zakryte, czarne oczy palące, któreby cię

były już do cna przepaliły. Miałam najpiękniejsze biodra, najpiękniejsze nogi w całej tej okolicy. Jaśni panowie z miasta tu przychodzili i złoto mi dawali. Za chwilkę. Bo całe życie składa się tylko z chwilek i chwila, chwila jest wszystkiem. Prawda? Bo chwila bywa trwogą i szczęściem, radością i bolem, i rozkoszą, ha! ha! rozkoszą, za którą płaci się złotem, zdrowiem i pracą, i sercem nawet. Bo wiesz, miły chłopczyku, i ja miałam niegdyś serce, i ja niegdyś kochałam. A dziś? Hu! hu! hu! A dziś? Dziś jestem pijana, zupełnie pijana! Ohydna była ta wódka, a nikt za mnie nie chciał zapłacić, nikt nie chciał mnie dziś na chwilkę! Bo, wiesz, chwila bywa także nieszczęściem, wielkiem nieszczęściem. Ot, chwilka... i już masz syfilisa! Ha! ha! ha! Ohydne było to życie!

— Nieszczęsna ty!

— Coo?! Widzisz go! Panicz z miasta! Będzie tu mnie żałował... — usiadła na trotuarze, i zaciągając się mocno papierosem, patrzała gdzieś przed siebie.

Noc nad nami przechodziła cicha, znacząc swój pochód zmiennym gwiazd orszakiem, i jeno z szynku buchały stłumione, pijane okrzyki, brzęk jakiś i tupot nóg.

— Widzisz — szepnęła znowu po chwili — bawią się. Robaka zalewają! A może i ty pójdziesz ze mną, co? Zabawimy się... Niee... Nie chcesz... Oho, mądry ty jesteś, bo wiesz — zerwała się nagle i podbiegła ku mnie — jeden mój pocałunek, to... syfilis! — pochyliła się ku mnie, już, już czułem jej, przepojony wódką, oddech na twarzy... więc skoczyłem w tył z okrzykiem zgrozy:

— Precz!

— Ha! ha! ha! — zaśmiała się, jak Zło i przepadła, jak sen, w czeluści ciemnej uliczki.

Odetchnąłem. Stałem chwilę długą zapatrzony w czyste teraz i spokojne niebo, i piłem chciwie oczyma jego milczenie wieczyste.

...Lecz trzasły znowu drzwi szynku i podszedł do mnie człowiek młody w robotniczej bluzie, o plugawej, zmiętej twarzy i złych, niesamowicie błyszczących, czarnych, dużych oczach. Zmierzył mnie temi oczyma, przekręcił czapkę na głowie i zagadał:

— No, coś pan za jeden? Co się pan tu po nocy włóczysz, hę? Może szpicel? My takich tu już znamy, o!

— Jestem tu przypadkowo.

— Przy... pad... ko... wo? Także coś! Aleś pan tu gadał z dziewczyną, nie?

— A tak. Ja.

— I co?

— I nic.

— Jakto nic?! Poszła?!

— Poszła.

— Sama?

— Sama.

— Ho! ho! Także coś! A może was tu było dwuch?

— Nie. Jestem sam.

— Sam? No, to słuchajże pan, po dobroci! To była, uważasz jegomość, moja dziewczyna. Moja! Mało już zarabia, ale ujdzie, ujdzie! Daj frajer po dobroci odszkodowanie, i jazda!

— Jakie odszkodowanie? Co takiego?

— Jakie?! Dawaj, psiakrew, i koniec! No?

— Nie!

— Niee! Toś ty taki, psi synu? No, no... — błysnął nożem, i zanim uchylić się zdołałem, błyskawicznie rzucił się na mnie. Zaczęliśmy się szarpać, zataczać, charczeć...

Nagle...

Jakieś silne ręce chwyciły przeciwnika mojego za ramiona i odrzuciły go odrazu precz o kilka kroków. Ujrzałem znowu błysk noża, i usłyszałem szept wściekły, dyszący:

— A tyś co za jeden?! Ja tobie... ja tobie...

— To ja! — zabrzmiał obok mnie głos dźwięczny i głęboki. — To ja! Odstąp! Precz!

— To ty... to ty? — i przeciwnik mój z oznakami niemal zabobonnej trwogi, cofając się twarzą ku nam, zemknął w głąb ulicy.

Umilkły wkrótce jego dudniące kroki, i wtedy spojrzałem znowu na starca. Stał smutny i cichy, i nie patrzał na mnie.

Powiedziałem: — Ocaliłeś mnie od pchnięcia nożem, może śmiertelnego. Powiedzże mi, kim jesteś?

— Jestem tutejszy, i posłuch tu mam.

— Szanują cię?

— Tak.

— Za co?

— Za słowo.

— Jakto? Za słowo? Sądziłem, że ty gardzisz słowem.

— Nikt mądry nie gardzi słowem, żywem słowem serca.

— Żywem słowem serca...

— Wszak pamiętasz: „Miej serce i patrzaj w serce“.

— „Miej serce i patrzaj w serce“.

— Jak echo powtarzasz...

— Jak echo... Bo dziwna to rzecz, dziwna. Doprawdy, przedziwna! Zapragnąłem oto przed godziną powrócić do pieśni mej słonecznej, do mojej wiosny, do mojego śpiewu! Zapragnąłem znowu śpiewać peany na chwałę beztroskiego życia, miłości, wina, słów dzwonnych i pięknej kobiety! I oto Los kapryśny zrządził tak, że ku tym śpiewom iść muszę przez ciemne, głuche uliczki, słuchając pijanego gwaru zbrodni, krzywdy, nędzy, ohydy, odpędzając płynące ku mnie zewsząd cienie niesamowite, drżąc i myśląc...

— Ty, który jesteś pieśniarzem...

— Tak,

— Wiedz, że i ja nim niegdyś byłem.

— I co? I wzgardziłeś słowem?.

— I objęła mnie i ukochała wielkiego słowa moc.

— Ach, wiem! Więc ty jeszcze wierzysz w moc słowa. Tyś jeszcze wartości jego nie przewartościował, ty jeszcze uważasz służbę Słowu za kapłaństwo, tak?

— Ktoś tu do nas idzie... — zauważył starzec i wskazał ręką w stronę szynku.

Zbliżał się do nas robotnik jakiś, wysoki i bujny, jak brzoza, i dawał ręką znaki. Starzec uśmiechnął się i rzekł:

— To robotnik Antoni! To brat Antoni!

— Twój brat?

— Brat nie mojej krwi, ale mej duszy. Jakże się masz, bracie? Gdzie byłeś?

— W szynku.

— Z niemi?

— Tak.

— I co?

— Nauczałem.

— I co?

— Drwili, lecz słuchali. Drwili, lecz pewnie zapamiętali. — mówił spokojnym i twardym, a przecież łagodnym głosem. Patrzał na mnie jasno-niebieskiemi, przejrzystemi, jak woda, oczami, i wtedy przypomniałem... Tak... tak... To on szedł z gromadą robotniczą i przemawiał twardo a z zapałem, wtedy, gdym nędzny i głodny, na dalekiem przedmieściu, w oczach jego znalazł dziwną siłę. To on, niewątpliwie.

A Antoni pytał:

— A ty, co tu czynisz, bracie?

Starzec wymijająco odpowiedział: — Wypadnie nam pewnie człowieka tego stąd wyprowadzić. Nie zna tutejszych dróg.

— A któż on?

— Pieśniarz z miasta. Nie zna tutejszych dróg.

— Pieśniarz z miasta?!

— Tak. Wielbi słońce i radość, życie i jego wiosnę, jak kaskada górska dzwonnym jest jego śpiew.

— Radości uczy?

— Tak. Uczy radości.

Patrzałem na nich zdumiony i niepewny. Lecz w głosach ich była prawda! Rzekłem:



— A czegóż uczycie wy?! Zagubiłem oto rękopis mej słonecznej pieśni. Wielbiłem w niej życie i wiosnę, miłość i szał, wino i śpiew, piękną kobietę i dźwięczną grę. I oto idę po tę pieśń, po tę zagubioną pieśń, przez mroczne uliczki nędzy i rozpusty, zbrodni i chciwości, chuci i krzywdy. Przez noc i mrok, który mnie otacza zgrozą i przeczuciami lęku, wonią krwi i ohydnej wódki i ohydnego życia! Co to znaczy?! Przecież jeszcze dziś, tak! dziś czułem cudny zapach róż... purpurowych róż... Była to dziwna, dziwna woń! Ach, już wiem, rozumiem już! W woni tej był także zatracający się, lekki zapach krwi! Więc cóż to? Cóż?! Czy to ja zagubiłem drogi? Czy jestem na rozstaju?

I ogarnęło mnie chwilowe przerażenie. Zawołałem:

— Więc kto jesteście wy?!

— Nie lękaj się nas — rzekł robotnik Antoni — spokojnym bądź. Ty, kochanek pieśni słonecznej i słońca wielbiciel, nie możesz być pieśniarzem ciemności.

— A wy? Jakoż wy? Wy, którzy żyjecie wśród ciemności i nędzy, wśród zbrodni i rozpusty, wśród pijanego gwaru i klątwy? Jakoż wy?

— My, którzy żyjemy wśród ciemności, nie służymy ciemnościom — odparł z swym dziecinnym uśmiechem starzec.

— Lecz służymy słowu, jasnemu słowu miłości — dodał robotnik Antoni.

— Tak, wiem, dobrze. Lecz przecież po czynach waszych przyjdzie Noc.

— Noc oto jest, pieśniarzu słońca. Noc oto jest. Po czynach naszych przyjdzie Świt.

— Wierzymy w świt.

— Walczymy o świt.

— Znamy jasną potęgę Słowa.

— Wierzymy i wiemy, że nocy dzisiejszej, nocy żądz, zbrodni, nędzy i gwałtu, nie pokona siła i gwałt, ni przemoc tłumu, albowiem zemsta nie rodzi szczęścia.

— Obcym nam jest błysk nożów.

— Obcą nam jest żądza zemsty.

— Uczymy słońca.

— Uczymy miłości.

— Słowem miłości walczymy ze Złem.

Patrzałem na tych ludzi, jak na mary snu. Zatraciłem poczucie jawy, i z dziwną trwogą uświadamiałem sobie, że nie wiem już, co dziś było snem, a co zwykłą jawą. Wydało mi się naraz, że jestem w jakiemś obcem mieście, że czyhają tu na mnie złe zmory i majaki, żem jest już otoczon przez cienie niesamowite, że tu się zacznie dziać coś zgoła niesłychanego, i zadrżałem w lęku.

Wtedy starzec dotknął mego ramienia i rzekł:

— Pójdź. Wyprowadzimy cię z tych ciemnych uliczek.

— A stąpaj ostrożnie — dodał robotnik Antoni — droga tu ciemna, stroma i śliska.

Ruszyli naprzód. Postąpiłem za nimi kilka kroków, lecz wtem zatrzymał mnie dolatujący z oddali przedziwny jakiś śpiew.

Zawołałem: — Poczekajcie chwilkę! Poczekajcie!

Lecz odeszli. Zostałem znów sam.

...I oto usłyszałem śpiew, jakgdyby dwuch chórów. Otwarła się przed oczyma mojemi mroczna, mglista dal, i jęła mnie wabić ku sobie. Z dali tej płynął śpiew, którego melodję i słowa do dziś dnia tak dobrze pamiętam.

Rozstajnych dróg ponury szlak
Gdzie wiedzie w dale sine?
Serdecznych drżeń przeczucia znak
Jaką ci wieści godzinę?

Z tej tajnej głębi mary czy zjawy, snu czy zwidziska zbliżały się ku mnie dwa orszaki, dwa śpiewające chóry. Pierwszy cały w szatach białych, wiodła czarno ubrana niewiasta; drugi, nędzny, dziwaczny, skarlały, wiodła biało ubrana dziewczyna.

Pierwszy śpiewał:

Wybieraj pieśń, wybieraj śpiew,
Co się krwią serca żywi!
Czerwoną krew, twą młodą krew
Śpiew ten niech uszczęśliwi!

A drugi, zbliżając się do mnie coraz szybciej i szybciej, żem się w lęku cofnął pod mur jakiegoś domu, bezładnym wciąż a okropnym wybuchał śmiechem, i dyszał piosnką złą, jak groza:

Wybieraj zemsty straszny gniew,
Wybieraj noc i krwawy szał!
Powiedziesz nas, jak chciwy lew,
Bo los ci siłę dał!
Lecz spiesz się, spiesz! Chwyć ostry nóż,
Bo chwila Nocy krótka!
Czerwoną zemstę miastu wróż,
Ohydną, jak ta wódka!

Ohydną, jak ta wódka!

Wtedy-to poznałem w białej przodownicy tego złego chóru pijaną dziewczynę z szynku. Otoczyły mnie mary złe, mary nędz, klątw i rozpaczy i zasypały groźbą mowy, kamieniem słów, głazami klątwy i żądzy:

— Patrz! Zła potęga w oczach lśni!
Damy ci zemsty moce!
— Ohydne życie niech ci się śni,
Ohydne dzionki i noce!
— A każda chwila radości wróg!
— A z chwil tych składa się życie!
— A kazda chwila to nowej próg,
To nowa klęska, rozbicie!
— Dajcie mu nóż!
— Dajcie mu miecz!
— On wybral gniew!
— On wybrał szał!
— I spełni rzecz!
— I spełni rzecz!

Wiem, żem krzyknął: — Precz! — i że na mgnienie poczułem się wolny. Lecz oto ten chór pierwszy, ten chór biały i nienapastliwy, śpiewał mi wciąż z oddali, a w śpiewie jego najczarowniejszym, jaki kiedykolwiek w życiu słyszałem, i tak dobrze na życie całe zapamiętanym, była siła uroków nieprzemożona, była pokusa jedyna, pokusa nieodparta. Drżała w tej melodji tajemna obietnica rwących, potężnych natchnień, była w tej melodji żywa, tętniąca krew:

Nie żałuj krwi, nie żałuj krwi,
Niech pieśń twa sercem szaleje!
Bo na cóż serce dano ci,
I wiarę, co zorzą dnieje!

O, tego śpiewu nie zapomnę nigdy! Poszedłbym za tym śpiewem wszędzie, wszędzie i zaraz!

Lecz oto znowu otoczył mnie chór czarny, znowu wświdrował mi się w mózg huczący śpiew przeklęty i śmiech ohydny, żem zatoczył się bezwładnie i resztką tchu, resztką woli krzyknąłem:

— Jezus Marja!

Wtedy przepadło wszystko. Zostałem znów sam. O ścianę domu się wsparłem, dysząc ciężko i przerywanie i oczy przecierałem, i siły woli zbierałem, aby uświadomić sobie, gdziem jest, i co się ze mną dzieje. Ale stanowczo nie miałem poczucia jawy. Pamiętam, że rzekłem głośno:

— Halucynacja... sen... tak. To wiem.

— Ty nie wiesz nic, nie pomnisz nic. Co jawą jest, a co snem? Czy wiesz? — ten głęboki, ponury głos, głos powolny i hardy, dudniący jakby i echa budzący, tak pewny, a przecież jakby nierzeczywisty, zabrzmiał niespodzianie tuż za mną. Obróciłem się.

Przyparta do muru, nawet, rzekłbyś, w mur ten wlepiona, czy może z muru tego występująca—widniała ciemna, wysoka postać, bez kształtów wyraźnych, nieruchoma i żywa jedynie świecącemi posępnie oczyma.

Czy były to oczy Szatana?! Czy były to oczy błyszczące mocą piekła, ziejące trucizną straszliwych, nieprzepartych tęsknot, tryskające żądzą walki i pychą odwiecznej tragedji?

Czy były to oczy Szatana, wielbiącego Zło, jako jedyne Dobro, i miłującego Noc, jako państwo jedynej rozkoszy?

A może to były tylko oczy człowieka, który przebył otchłanie cierpienia?

Nie wiem, nie wiem dziś nic, i wtedy nie wiedziałem. Ale dziś pamiętam, żem rzekł:

— Kto jesteś ty? Znów widmo snu?

I otrzymałem odpowiedź naśmieszliwą:

— Ja codzień w nocy jestem tu, choć niema mnie na jawie.

— Więc odejdź precz! Ja mocy chcę! — pamiętam dziś dobrze, że właśnie te słowa wtedy wypowiedziałem i pamiętam również dobrze, że od tego momentu aż do końca tych wizyj, czy halucynacyj, zachowałem niezwykłą bystrość wzroku, niebywałe natężenie myśli i wszystkich władz umysłowych, przestałem się bać i lękać, przestałem się dziwić, lecz jednocześnie zatraciłem zupełnie poczucie czasu i miejsca, przestałem właściwie istnieć jako dawny „ja", jakgdyby to „ja" przepadło, zczezło, usnęło, czy zgoła zamarło, wyłoniwszy tylko z siebie dziwnie czujną, dziwnie spostrzegawczą, dziwnie panującą nad wszystkiem świadomość.

Posępne widmo szydziło:

— Ty możesz chcieć? Czegóż ty chcesz?

— Chcę mocy!

— Chcesz ujrzeć ją?!

— Nie! Chcę ją mieć, chcę nią zawładnąć, chcę przez nią działać!

— Ha! ha! Ty człowiek. Dobrze. Pokażęć moc. Pokażęć moc żądzy ciemną i władną. Zapanuj nad nią!

— Czem?

— Twą mocą: słowem!

— Ty drwisz!

— Nie!... Patrz.

I nagle ujrzałem w głębi uliczki dwa mroczne, zmagające się z sobą cienie. Tupot nóg usłyszałem i chrapliwe oddechy, piskliwy jęk kobiety i chrypiące wściekłością klątwy mężczyzny. Ujrzałem później błysk noża w powietrzu, a później jeszcze usłyszałem przeraźliwy krzyk.

Przeszył on spokojną ciszę nocy i napełnił ją na mgnienie grozą i przerażeniem.

Oto się działa zbrodnia!



Cień zamordowanej osunął się na ziemię i jakby zapadł w mrok. Cień mordercy, z nożem w ręku, skurczył się, pochylił, trwał chwilę nieruchomy i wreszcie przepadł w mroku. Nastała znowu głęboka, zupełna cisza nocy.

Wyszeptałem:

— Zabił.

— Tak. Zamordował.

— Kto kogo?

— To matkę syn.

— Morderca, kat!

— A przecież człowiek: twój brat!

— Mój... brat?

— Twój ciemny brat.

— Tak. Mój ciemny brat.

— Bo tu niema win. Jest tylko noc.

— Po nocy przyjdzie świt.

— Świt?! Krwawy?! Wiesz?!

— Nie! Nie chcę! Nie!

— Nie drżyj! Lęk kusi Zło.,. Słyszysz? Daleki, daleki chór? Zły chór. Zemsty chór. Nocy śpiew. Widzisz? Już łuna ponad miastem płonie? Słyszysz i widzisz?

— Słyszę i widzę.

Przed oczyma memi krwawa zapłonęła łuna. Do uszu moich dobiegło dalekie wycie tłumów. groźne jak pomruk nadchodzącej burzy.

Ponure widmo szeptało:

— Słyszysz? Natężaj słuch, natężaj wzrok. A wszystko, co usłyszysz i wszystko, co zobaczysz, rozważ! Rozważ pilnie! Słuchaj...

Słyszałem.

...Gwar tłumu potężniał. Groźna jakaś fala szła ku mnie. Już odróżniałem pojedyncze głosy:

1) Już łuna lśni! A siny dym
Płynie na miasto chmurą!
Niech on prowadzi!
2) Nie idźcie z nim!
On kłamie swoją purpurą!
3) Niech wiedzie nas! On wódz! On lew!
My w rękach jego Moc!
4) Niech wiedzie nas!
5) Za naszą krew!
6) Za nędzę! Za głód! Dziś Noc!
7) Nie wierzcie mu! To Szatan Zła!
Okłamie nas i zdradzi!
8) Nie zdradzi, nie! Póki Noc trwa!
Niechaj On nas prowadzi!

I oto otoczył nas tłum. Przodownika, który miał twarz ponurą i złowieszcze, nieruchome oczy, jakgdyby zbratane z wieczystą martwotą, kołem ścisnęły postacie olbrzymie, ludzie maszyn, młota i kilofa, ludzie twardzi i nieustępliwie rozjuszeni, ludzie, których objęła i zagarnęła, i w szponach swych zacisnęła Żądza. Chór grubych i piskliwych, dźwięcznych i zachrypłych, krwią żywą chuci dyszących głosów bił w jego postać i bił w jego twarz:

Wybieraj szał! Wybieraj gniew!
Powiedziesz nas! Ty zemsty lew!
Wybieraj gniew! Wybieraj szał!
Nie żałuj krwi za naszą krew!
Patrz! Krzepkie mięśnie naszych ciał!
Wybieraj gniew! Wybieraj szał!

Kamienna, martwa twarz przodownika nie drgnęła nawet, nie zbladła, niczem, niczem nie okazała wzruszenia. Nagłym, ale spokojnym ruchem ujął rękę jakiejś młodej i pięknej dziewczyny, spojrzał głęboko w jej oczy, aż zbladła i znieruchomiała pod tem spojrzeniem i rzekł:

— Wybrałem Noc. Ty, sponiewierane dziecko ludu, które podstępnie kupił dla swej żądzy bogacz z miasta, pójdziesz i dom tego bogacza podpalisz. Albowiem imię twoje jest zemsta!

— Pójdę i podpalę!

— A potem wrócisz tu. I słuchać będziesz tylko mnie.

— A potem wrócę tu i słuchać będę tylko ciebie. Albowiem ty jesteś nasza moc i mściciel nasz! Wrócę tu i rozkosz ci dam. Bo młoda jestem jeszcze, młoda! Hu! hu! — i jak szalona odbiegła.

A tłum wył. Noc, krwawym brzaskiem łuny barwiona, drżała od wrzasku, tupotu i krzyku, i zdawało się, lada chwila zamieni się w szał. Zła radość hulała już w tłumie, zła moc święciła już gody:

On wybrał gniew! On mściciel nasz!
Zwołajcie lud. Rozdajcie broń!
Dopóki Noc! Noc nasza straż!
Oto łunami gra nocy toń!
Wybieraj gniew! Ty zemsty lew!
Wybieraj szał! Wybieraj krew.
Patrz! krzepkie mięśnie naszych ciał!
Wybieraj krew! Wybieraj szał!!!

Kamienna, martwa twarz Przodownika w straszliwym nagle rozbłysnęła uśmiechu. Ożywiły się je-

go nieruchome oczy, zapłonęły czerwonym blaskiem ognia i wbiły się — niby dwa sztylety — w zbitą, zwartą falangę tłumu.

Jakiegoś młodego robotnika chwycił za rękę i rzekł:

— Pomnisz? Ojciec twój u wielkiego służył magnata, i był mu wiernym jak pies. I jak psa wygnano go w pewną noc, jak psa obito, że zdechł na ulicy jak pies. Więc ty, synu zemsty, pójdziesz, dom magnata tego podpalisz, a jego samego zabijesz!

— Pójdę i zabiję!

— A potem wrócisz tu. I będziesz słuchał tylko mnie!

— A potem wrócę tu i będę słuchał tylko ciebie. I będę ci wiernie służył aż do końca, jak pies. Albowiem ty jesteś zemsta nasza, wola nasza, moc nasza i nasz wódz. Pójdę i zabiję!

Lecz w tejże chwili stała się rzecz nieoczekiwana i wielka. Wystąpił oto z tłumu Człowiek dziwny, Człowiek jasny i cichy i silny. Długą, białą szatę miał na sobie i głowę jasną, w lokach, obnażoną. Niezwalczony spokój był w jego bladej twarzy, nieziemska na czole pogoda i słońce, słońce w oczach.

Wystąpił cicho i powoli, taki cichy a potężny, taki prosty a jasny i dłoń swą dziwnie świecącą na ramieniu młodego robotnika położył. W ciszy wielkiej i bezkresnej, która nagle zapadła, cudownym, przejasnym dźwiękiem zakołysał się Jego głos:

— Nie pójdziesz i nie zabijesz!

Cisza.

Cofnął się potężny, rozjuszony tłum. Ciężkie westchnienie, głębokie westchnienie człowieka, który się męczy pod mocą koszmarnego snu, przebiegło przez tłum ten jedną krotką falą.

Zadrżał młody robotnik, zachwiał się i opuścił głowę. Bezradnie zabrzmiał jego głos:

— Pójdę i zabiję!

Zakotłowało się nagle w tłumie, zahuczało, chrypiało: A... a... a!

— Nie pójdziesz i nie zabijesz — po raz wtóry przedziwny zapanował głos. Albowiem zbrodnia nie rodzi życia, albowiem zemsta zabija duszę, albowiem pożar rodzi tylko gruz.

I po raz wtóry zadrżał i zachwiał się młody robotnik. Do Przodownika rzekł:

— Wodzu, mów ty!

Lecz klął już tłum:

A ten znów kto?! A młody tchórz!
Odstąpił w tył! Opuścił nóż!
Z milczeniem precz! Z milczeniem precz!
Wodzu! Ty nasz! Sam ty chwyć miecz!!!

Przypadła do piersi przodownika młoda dziewka jakaś, rozpłoniona jak żądza, rozpasana, jak wstrętna rozpusta. Półnagą była i nagą dyszała piersią i nagiemi świeciła ramionami. Zuchwale, butnie, rozdzwonnie wołała, jak istna córa Szatana:

— Wybieraj krew! Wybieraj szał! — wskazała ręką w pierś jasnego Człowieka i, chrypiąc nienawiścią, krzyczała: On złuda, kłam! On zjawa snu! Przepędź go precz! Przeszkadza nam!!!

— Przeszkadza nam!!! — ryknął tłum i groźną falą natarł na Przodownika. A ten wypuścił z swych ramion półnagą dziewczynę i krzyknął:

— Więc daj mu w twarz!

Dziewka skoczyła, jak zły płomień, jak wiatr. Przypadła do nieruchomo stojącego, podniosła rękę, zamierzyła się. Stała się cisza tak zupełna, tak grobowa, że w momencie tym słyszałem jeno bicie serca własnego.

Tłum zmartwiał.

...Dziewka zachwiała się. Bezwładnie — jak porażona — opadła jej ręka. Zagasły oczy. Skuliwszy się, jak spokorniały psiak, cofnęła się ku Przodownikowi. Szepnęła:

— Nie mogę, nie...

Zupełnie martwą, zupełnie kamienną stała się znowu twarz Przodownika. Nie patrząc, rzekł głosem zimnym i złowrogim, głosem świszczącym, jak wicher lodowy:

— Kto jesteś ty? Odstąp. Odstąp precz! — — Nie odchodzi i nie odpowiada!

Poruszył się zamarły tłum. Ciężkie westchnienie, głębokie westchnienie człowieka, który się męczy pod mocą koszmarnego snu, przebiegło przez tłum ten jedną krótką falą!

— Nie odchodzi i nie odpowiada...

— Odpowiem wam i rychło już, lecz z waszych serc. Bo mówię z waszych serc!

— Ha! ha! ha! ha! Wodzu! Ty sam! Bo przegrasz moc, bo zginiesz sam! Ten tłum już drwi, i z ciebie drwi! Ostatni czas! Uderzaj sam! On widmo, kłam! Nie patrz mu w twarz, i bij!

— I bij!!!

— A więc ja sam!!!

I stała się rzecz potworna, rzecz niesłychana, Noc czynu przeokrutna, po której bezkresne, o! nieziemskie nastało milczenie. Skulona postać Przodownika, z głową wtuloną teraz w szerokie, silne ramiona, z oczyma świecącemi piekłem grozy i lęku i z przerażeniem zezującemi w bok, rzuciła się jednak naprzód, wzniosła ramię i..!

Jęknął tłum i cofnął się gwałtownie wstecz, jak fala o kamienny brzeg własną siłą odbita, i nastało zupełne milczenie, milczenie gwiazd, milczenie otwartej znagła wszechświata otchłani.

Nieruchoma, promienna postać dziwnego Człowieka oczyma głębokiemi miłości i mądrości patrzała w rozbestwiony tłum. A potem oczy te zwolna zwróciły się na twarz młodego robotnika, opodal stojącego, i znowu w ciszę wielką popłynął przejasny, dobry głos:

— Nie pójdziesz i nie zabijesz!

— Nie pójdę i nie zabiję! — zabrzmiał cichy dźwięk odpowiedzi.

Lecz wtedy...

Znowu ta półnaga dziewka, ta płonąca grzechem, wyuzdaniem i chucią bezgraniczną córa Szatana, nagiemi ramionami opasała szyję Przodownika, płomieniska oczu posłała w tłum i napełniła powietrze dyszącym, ogromnym głosem, pokusą piekielną i ułudą mocy:

— Hej, wy!!! Hej, ty!!! Noc kończy się!!! Za nóż, za nóż, za nóż!!! Zwycięstwo chwyć! Wybieraj szał! Wybieraj śmierć! Tym zdrajcom śmierć! Jutro świat wasz! Im śmierć!

Chwyć nóż!

Naści nóż!

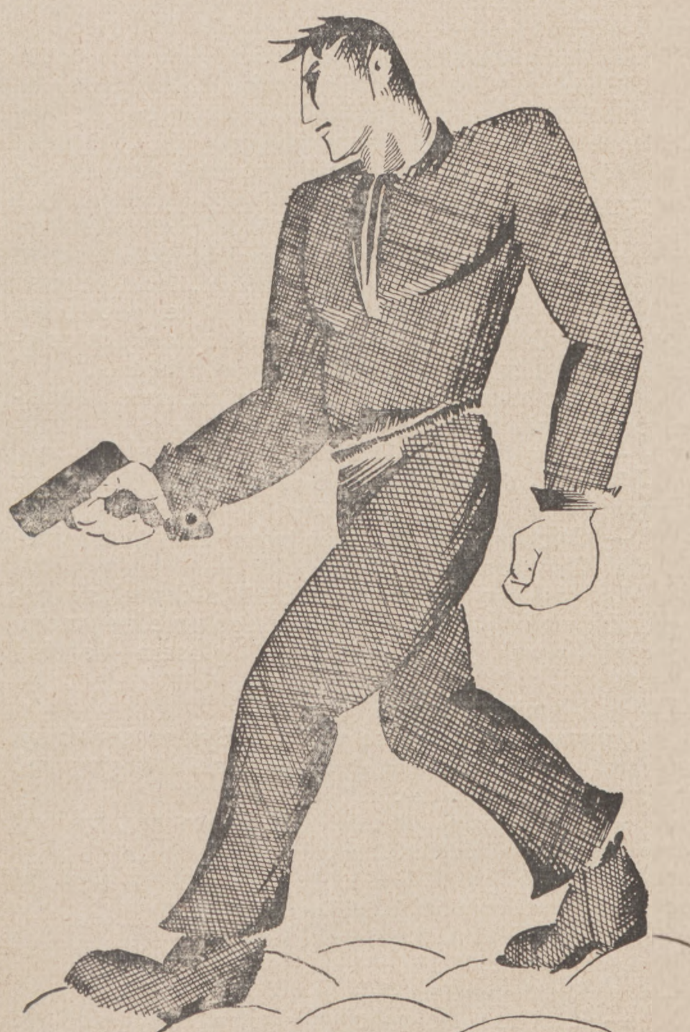
Im śmierć! Świat jutro twój!

— Swiat jutro mój! Im śmierć!

Ryk tłumu, piekło żądzy, krew chuci, zwierzę ludzkie oszalałe ciskało się i wiło przedemną. Okropny błysk nożów, kamieni świst!

W mózgu mym chaos, w sercu mem szał! Poczułem w sobie piorun woli i tym piorunem rzucony jak błysk ciosu, jak myśl wskoczyłem, wdarłem się, wtłoczyłem się w tłum. Mój krzyk jak grom rozciął powietrze i zapanował nad zwierzęcem wyciem:

— Precz! Jak śmiecie mordować Człowieka?! — i już, już widziałem promienną twarz, gdy nagle oto straszliwy śmiech wdarł się do mej świadomości, jak rozpalone ostrze, — a z przed oczu wszystko, wszystko znikło, wszystko rozwiało się, jak mgła.



Jeno jeszcze ten śmiech huczał chwilę krótką i nagle zagasł i zmilkł. Była cisza. Byłem sam.

Noc głucha, noc czarna płynęła ponad miastem — przelewała się ciężko, a cicho swemi posępnemi mrokami — bezgłośnie a jednak wyczuwalnie dyszała — i tłumiła sobą wszelki gwar, wszelki pogłos życia.

Była cisza. Byłem sam.

I zacząłem się znowu — jak już raz — przez ciszę tę przedzierać i znowu zacząłem słyszeć.

Objęła mnie surowa, bezlitosna groza.

Jęk sunął przez mroki ciężko i powoli — dziwny, rytmiczny głos.

— — — — — — — — — — — —

Starzec dotknął ramienia mego. Mówił:

— Cóż dumasz tak i dumasz, synu pieśni, a my z robotnikiem Antonim czekamy na ciebie. Czyż czekamy naprożno?

— Nie. Nie czekacie naprożno. Już idę.

— Spieszno ci do twej słonecznej pieśni, do twych dzwonnych słów?

— Nie starcze. Inna mnie już oto ukochała moc. Tamte pieśni już mi... niepotrzebne.

Była to izdebka mała i półmroczna. Jakiś lichy tapczan, kilka prostych stołków, lichy stół, na którym trochę książek i papierów. W głębi, w grubym murze, otwarte okno. Za oknem szumiała Wisła.

Wyczerpany usiadłem na tapczanie i w milczeniu spoglądałem na starca, stojącego pod oknem. Wreszcie powiedziałem prawie mimowoli:

— Więc to tu. Tuż nad samą Wisłą. Na skraju miasta. Tu. Dziwna, dziwna rzeczl Wydaje mi się ciągle, że ja tu kiedyś byłem.

— Nie, tu pan jeszcze nie był. Tu jest moja samotnia, której nie zna nikt, prócz brata Antoniego. Tak. Prócz niego.

— Czy pozwoli mi pan przyjść tu czasami?

— Proszę. Niech pan przychodzi.

I znowu nastało długie milczenie.

Wreszcie starzec dziwnie powoli zbliżył się do stołu, wydobył z szuflady mój rękopis i rzekł:

— Warunki moje spełnił pan wiernie i bez wahania. Więc zwracam panu rękopis. Oto on. Proszę.

Wstałem. Podszedłem. Nie było we mnie żadnego wzruszenia. Przyjąłem z rąk starca ten stosik szczelnie zapisanych kartek. Tak. To on. Dziękuję — machinalnie zacząłem przegladać kartki i nagle powiedziałem:

— A jednak zdaje mi się teraz, że ja tego napisać nie mogłem.

— Dlaczego?

— Posłuchaj pan... To taki sobie fragment. Sonety wiosenne.

— Słucham chętnie.

— A wiec np. ten:

Wolo moja, moja wierna, dobra przyjaciółko,
Którą-m spotkał na twardej, trudnej życia drodze —
Patrz—dziś oto, bezradny, po mym kraju chodzę,
Myśl wciąż zmienna, dziś nie jest twą natrętną [pszczółką!

Jakaś moc ją w zaklęte wprowadziła kółko,
Że się błąka, bezsilna, poddana już trwodze, —
I z chaosu bezwoli trudno wyjść niebodze, —
Wolo ma! Bądźże myślom przewodnią jaskółką!

Zamień myśl w złotą pszczółkę, mądrą i wytrwałą,
A ma złuda ją wyśle na kwietne, na sady.
A ma Złuda wnet stworzy noc srebrzysto-białą,

I cudowne w księżycu perlące kaskady,
I kwiatów miodne snopy, dyszące swą chwałą,
Które mi zaczarują pszczółkę twą wytrwałą!

Albo ten:

Słońca promienie chwytam i wplatam je w wieniec
Kwiatów mych, które pomną jeszcze złoto drżącą
I upojoną pieszczotę jedyną, gorącą,
Pieszczotę żywą słońca! Hej! Biegnę—młodzieniec,
Syn swawolnej beztroski — i łunny rumieniec
Zalewa wraz twarz moją krwią, żarem płonącą!
Hej! Idę! Hej, już biegnę! Pieśnią szalejącą
Napełnia się pierś moja! Hej! Biegnę — młodzieniec,
Pogański czciciel Słońca i kwiatów kochanek!
I skrzydła mi wytrysły u ramion polotne
I siła w żyły weszła potężna i młoda.

Tu ręka opadła mi bezwładnie. Ogarnęło mnie nagłe, denerwujące zniechęcenie:

Tak, tak. Dziwna rzecz! Niby to nie jest słabe, ani puste, niby to jest dźwięczne i młode, bardzo młode, ale to nie jest już to. Tego nie pisałem ja, dzisiejszy.

Zdawało mi się, że starzec słucha bardzo nieufnie. Mimo to mówiłem dalej:

— Dziwna rzecz! Idąc tu do ciebie przez te ciemne, cuchnące uliczki, wśród korowodu niesamowitych cieni, przy pogłosie ech przedmieścia lękliwych i pijanych, jakoby zatraciłem pamięć dźwięku i znaczenia tych słów, tak jak zatraciłem pamięć woni róż...

Starzec milczał.

— Milczysz, starcze?

— Milczę i wspominam — odparł po chwili cichym wzruszonym głosem. — I ja kiedyś byłem młody i ja niegdyś byłem pieśniarzem i marzycielem.

— Co?

— A tak. I marzyłem często tak.

— Proszę cię, starcze, bądź szczery. Powiedz mi, jak marzyłeś?

Starzec milczał długo. Podniósł na mnie wreszcie swe dziwne oczy i patrzał. Poczem mówić zaczął powolnym, wyraźnym głosem:

— Więc np. tak... Ale to są tylko wspomnienia, wspomnienia bardzo dawne, lecz niekochane.

— A przecież wspomnienia są krajem jedynym, z którego niemasz wygnania.

— Oprócz dobrowolnego jednak.

— Więc marzyłeś jak?

— A było najczęściej tak: Noc schodzi. Jakgdyby cichą zasłoną otula miasto i gwar coraz tłumi. W blasków powodzi skrzą się ulice, lecz szczyty wież toną w mrokach i ciszy. Cyt... cyt... jeszcze miasto szumi. Tu, do mnie oto, ten gwar stłumiony dochodzi szeptem, jakby pacierz mniszy. Potem na Anioł Pański zadzwoniły dzwony. W daleki przestwór płynie gwar potężny, rozperla dźwięki w harmonję przedziwną, i zda się, śpiew ten niebosiężny niebo obudzi. Z gałązką oliwną na ziemię spłynie Anioł Wszechdobroci i serca ludzkie ozłoci.

Pauza.

— Cyt... Miasto szumi. Jakby wielkie, krwawe serce wciąż bije i bije ustawno. Tam wre bój straszny o złoto, laur, sławę, o wszelkie rzeczy. To, co było dawno... może nie było... królestwo miłości jest baśnią jeno.

Pauza. Zaczynałem rozumieć. Rodził się we mnie lęk.

Starzec mówił dalej:

— Hen... przez noc się żeną gwary, hałasy. A serce zazdrości przestworom ciszy. Jak skrzydło łabędzie płynącym chmurkom bezwiny zazdrości i złą targane pokusą rozważa, że może wtedy ziemia cichą będzie milczeniem czystem, w którem grzechy toną, i w którem wieczność się stwarza, kiedy jedynie grzech wszelki jest daleki, gdy słońce, gasnąc, w noc błogosławioną spłynie na wieki.

Zrozumiałem. Wyszeptałem w lęku:

— To przecież jest straszne!

— Nie—łagodnie już i z uśmiechem odpowiedział starzec. — Tego już we mnie niema. Inna mnie teraz objęła i ukochała moc.

— A niegdyś byłeś poetę.

— Sławnym.

— Sławnym.

— Powtarzasz znowu jak echo.

Drgnąłem. Znowu?... Ach, tak... Lecz cóż ty ze mną zrobiłeś, dziwny starcze? Warunki twoje były niesłychanie ciężkie, i może bardzo mądre, i może konieczne. Lecz cóż ty mi dać możesz wzamian za to? — potrząsnąłem rękopisem.

— Wzamian za to? Przecież to ja ci oddałem.

— Tak, ty. Lecz i ty przecież dobrze wiesz, że to mi jest teraz zupełnie niepotrzebne. I ty przecież wiesz, że lekceważę już te pieśni i te papierowe słońca i te dzwonne pokrzyki rozswawolonej chłopięcej fantazji. I ty wiesz, że ja, który widziałem...

Starzec znów spojrzał na mnie nieufnie. Mruknął prawie niechętnie:

— I cóż ty widziałeś?

Odpowiedziałem twardo i patrząc mu wciąż w oczy:

— Człowieka, który miał twarz Chrystusa i który miał Chrystusa wolę.

Zatrząsł się starzec w sobie i zachwiał się nawet. Zupełna bladość pokryła jego wielkie czoło, policzki, nawet wargi. Potężnym głosem napełnił izdebkę:

— Kłamiesz! Poeto!

Patrzałem mu prosto w oczy. Byłem spokojny, bowiem mówiłem prawdę. I mój głos spokojny był, choć ostry i stanowczy:

— Nie kłamię, starcze. I wzywam cię, byś był teraz szczerym i szlachetnym.

Minęła długa chwila. Wreszcie starzec zdjął ze mnie swe przedziwne oczy, cicho zapytał:

— Widziałeś Człowieka... i co?

— I zło.

— I przekonałeś się?

— Że człowiek walczy ze złem, że jeżeli nie zwycięży Słowo...

— Miłości.

— Tak. Słowo Miłości.

— Jeśli nie zwycięży...

— Starcze!

— Wniknij w odwieczną tajemnicę życia. Znasz ją. Masz ją w sobie. Oto idzie dzień utraty wszystkich twoich złud, i zdobycie wiary nowej, prostej i jasnej, lecz większej niż świat. Bo wiary, którą daje Bóg.

— Co? Co mówisz ty? Mąci się w głowie myśl. O czem ty śnisz? O jakiej mówisz walce? O jakiem zwycięstwie? Przez co? I co będzie ziszczonem?

— Królestwo miłości.

— Obłęd. Sen. Zwid! To nie może być! To oślepia, to rozsadza serce, to obłąkuje mózg. To jest marzenie! To jest szaleństwo! To byłoby szczęście!..

Nie panowałem znowu nad sobą. Prosiłem:

— Nie drwij ty ze mnie, siwowłosy starcze. Nie oślepiaj piorunami wiary, nie obłąkuj mnie marzeniem nowem, nie...

Nagle zeszła na mnie błogosławiona cisza i uspokojenie. I jakby patrzały we mnie świetliste, potężne oczy.

Słuchałem.

Starzec mówił: — Niechże zejdzie na ciebie chwila twoja i twego życia świt. Rozważ, że jest to chwila święta, w której, siły swoje w rozkwicie poznawszy, i wolą ducha pęta słabości zrywając, zaczniesz zdobywać, walczyć, stwarzać życie. Rozważ, że raczej dzieckiem umrzeć stokroć lepiej, niż w chwili takiej oddać na pożarcie moc swej młodości rozkoszy, co ślepi, i klęskę pisze na duchowej karcie.

I działa się we mnie przemiana. Szło przez moją duszę moje małe, nędzne życie, widziałem je całe i rozumiałem.

A Starzec mówił:

— Rozważ dalej, że nie zwycięży idea żadna, nie zwycięży tu bez poświęcenia. I oto jeśli pożegnasz swe ułudne marzenia, jeśli uczyć się zaczniesz tej najświętszej sprawy, zwanej poświęceniem, przekroczysz wnet próg tajemnic naiwyższej miłości, która właśnie jest poświęceniem, i po ścieżce życia, która ci będzie trudna, lecz prosta, dojdziesz tam, skąd już ujrzą twe oczy przyszły cud spełnienia.

Słuchałem i bezwiednie rwałem karty rękopisu. Strzępy... strzępy... strzępy...

— Wiara tylko — mówił starzec — czyni cuda. Wiara wyzwala duszę. A o cóż więcej człowiekowi dla siebie troskać się trzeba? Tylko o wolność własnej duszy.

Spojrzał na mnie, wskazał na strzępy kartek:

— Cóżeś uczynił? — zapytał, zresztą bez zdziwienia.

Milczałem.

— Co widzisz? — pytał starzec.

— Życie. Widziałem swoje życie.

Starzec podniósł z podłogi strzępy kart i rzucił je za okno. Zapytał znowu:

— Coś uczynił?

— Stargałem ułudę.

(Dokończenie nastąpi)

*Wiktor Przecławski.*

# HISTORJA ZAKŁADU LECZNICZO-SZKOLNEGO DLA INWALIDÓW WOJENNYCH W KRAKOWIE,

od 10.VIII 1915 do 31.XII 1923 r.

(dokończenie)

## Rok Szkolny 1922/23.

Rok ten rozpoczął się pod znakiem likwidacji szkolenia inwalidów. Zakład leczniczo-szkolny zostaje zamieniony na Zakład leczniczo-protezowy w myśl rozp. M. S. Wojsk. Dodatek tjn. Nr. 1 do Dz. R. Nr. 1/23.

Rozporządzeniem M. S. Wojsk. Dep. VIII San. L. 8318/23. III. Sup. Inw. nie przyjmuje się do Zakładu nowych inwalidów, jedynie ci inwalidzi, którzy przerwali naukę wskutek odejścia do szpitala, mieli prawo powrotu do Zakładu.

Szkolenie odbywa się na koszt Min. Pracy i Opieki Społ.

ROK SZKOLNY 1922/23.

| KURS | rozpoczęło | ustąpiło | ukończyło | zostaje na nast. rok |
|---|---|---|---|---|
| Uniwersytet Jag. Prawo | 1 | | 1 | |
| Kursa gimn.-realne do 4 gimn. | 1 | 1 | | 4 |
| „ 6 „ | 5 | 1 | | |
| „ matury | 1 | | 1 | |
| Kurs maturyczny | 1 | 1 | 1 | |
| „ pedag. rządowy | 13 | | 10 | 2 |
| Akademja handlowa kurs abiturjentów | 3 | 1 | 2 | |
| „ 2-letni | 4 | | 2 | 2 |
| „ wiecz. 4 mies. | 2 | | 2 | |
| Kurs rachunk. państw. | 2 | | 2 | |
| „ buchalt. Nowaka | 1 | | 1 | |
| W. Szkoła przem. ceram. | 1 | | 1 | |
| Konserwatorjum muz. | 1 | | 1 | |
| Kurs poczt telegr. | 4 | 1 | 3 | |
| | 40 | 5 | 26 | 8 |

ROK SZKOLNY 1923/24 do 31. XII. 1923 r.

| KURS | rozpoczęło | ustąpiło | zdało egzam. | pozostaje |
|---|---|---|---|---|
| Kurs pedagogiczny | 2 | | 2 | |
| „ mat. klas. | 3 | | 1 | 2 |
| „ „ przyr. matem. | 1 | 1 | | |
| „ Abiturjentów przy Akad. Handl. | 2 | | | 2 |
| Wyższa Szkoła przem. | 1 | | | 1 |
| | 9 | 1 | 3 | 5 |

## Schronisko.

Na tem miejscu wspomnieć należy o tej instytucji, która przez $1^1/_2$ roku była filją Zakładu leczniczo-szkolnego i była prowadzoną wspólnie z kursem gospodarczo-ogrodniczym.

Inwalidzi, przybywający z odległych stron całej Małopolski do Krakowa celem odszukania dokumentów potrzebnych im do zarejestrowania się we właściwych ekspozyturach i t. d., o ile się zgłosili w Komendzie Szkoły inwalidów byli umieszczeni przejściowo w jednym z odziałów szpitala wojsk. Nr. 4. wchodzącego w skład szkoły inwalidów. Wielu inwalidów wcale się nie zgłaszało do szpitala z prośbą o czasowe umieszczenie ich w zakładzie i w tym wypadku albo nocowali na ulicach, albo o ile im fundusze pozwalały spędzali noc w prywatnych domach noclegowych za opłatą lichwiarskich cen.

Aby z jednej strony uchronić szpital wojsk. № 4 od elementów przejściowych, wprowadzających często niepożądany ferment do Zakładu, z drugiej strony przyjść z pomocą inwalidom z poza Krakowa przybywającym — Generalna Ekspozytura M. S. Wojsk. w Krakowie rozkazem z dn. 28 lipca 1919 r. utworzyła „Schronisko“ dla inwalidów woj., podporządkowując je pod względem administracyjnym i dyscyplinarnym wprost sobie, zaś pod względem gospodarczym Komisji kasowej Szpitala wojsk. Nr. 4.

Na komendanta „Schroniska“ przydzielono por. Józefa Jaworskiego.

Ten charakter „Schroniska“ trwał aż do reorga-

nizacji i translokacji Szpitala wojsk. Nr. 4 z Krakowa do Bronowic t. j. do czerwca 1920 r. W tym czasie na rozkaz M. S. Wojsk. z dn. 25 maja 1920 r. L. dz. P. 560/20 — depesza telegraficzna. Szpital wojsk. Nr. 4. Oddz. II i III został przeniesiony do Bronowic. Oddz. I tego Szpitala, w którym mieścili się inwalidzi nie potrzebujący leczenia, przeniesiono do Pałacu na Woli Justowskiej obok Krakowa. Równocześnie Gen. Eksp. S. O. M. S. Wojsk. zwinęła swoje „Schronisko", a inwalidów tamże przebywających przeniesiono również do pałacu na Woli Justowskiej.

W ten sposób powstał oddział o 150 inwalidach, który nazwano „Schroniskiem" dla inwalidów woj. w Woli Justowskiej i podporządkowano go pod każdym względem Komendzie Szkoły inwalidów wojsk. w Krakowie.

Pierwszym komendantem „Schroniska" w Woli Justowskiej był kpt. Stefan Ziobrowski, po nim Józef Jaworski, wreszcie por. Piotr Korzeniowski. Ruch inwalidów przeciętny w pierwszym roku wynosił ponad 85 ludzi. Schronisko to było instytucją potrzebną, lecz tak przez inwalidów jak i władze wojskowe źle zrozumianą. Instytucja stworzona dla inwalidów przyjezdnych potrzebujących na kilka lub kilkanaście dni najwyżej dachu i ciepłej strawy — stawała się powoli stałem miejscem pobytu inwalidów wprawdzie często bezdomnych, lecz za to próżniaków, czujących wstręt do wszelkiej pracy i szkolenia. Wnet też „Schronisko" stało się osią ludzi bezczynnych i wnoszących w rzesze inwalidów niezadowolenie.

Stan taki trwał blisko cały rok t. j. do jesieni 1920 r. W listopadzie 1920 r. Komenda nakazała przymusowe zajęcie dla inwalidów w „Schronisku" umieszczonych. Zaprowadzono kursa dla analfabetów, następnie kursa o typie szkoły powszechnej, przeniesiono z Krakowa do „Schroniska" kursa koszykarskie i szczotkarskie, zaprowadzono wreszcie w małych rozmiarach warsztaty szewskie i krawieckie.

Wszyscy inwalidzi przebywający w „Schronisku" powyżej 10 dni musieli się bezwarunkowo imać pracy w powyż podanym zakresie, przez siebie obranej. Który inwalida pracy się nie oddawał został bezwzględnie usunięty. Zarządzenie to Komenda Szkoły inw. przeprowadzała konsekwentnie — to też atmosfera w „Schronisku" wnet się przeczyściła, a przeciętna liczba inwalidów tamże przebywających spadła do 50 ludzi dziennie.

Pozostali inwalidzi do nowego porządku rzeczy wnet się przyzwyczaili i nabrali ochoty do pracy, tak, że już na wiosnę 1921 r. „Schronisko" nabrało charakteru zakładu szkolnego, w niczem nie różniącego się od reszty szkoły inwalidów.

To też rozkaz M. S. Wojsk. z dn. 8.VI 1921, L. 365/Tjn. Sa. V, polecający zwinąć „Schronisko" i oddać je P. K. U. Kraków spowodował tylko zmianę nazwy oddziału na filję Szkoły inwalidów woj. w Krakowie na Woli Justowskiej z pozostawieniem wszystkich urządzeń szkolnych i to, że do tej pory nie przyjmowano do Zakładu inwalidów przejściowych, lecz takich, którzy chcieli się szkolić w rzemiośle prowadzonem na Woli Justowskiej.

Pozostawienie filji (dawnego „Schroniska") we Woli Justowskiej okazało się koniecznem z tego powodu, że w Krakowie Szkoła inwalidów nie mogła pomieścić w budynkach sobie przydzielonych licznie zgłaszających się do szkolenia inw.

„Schronisko" było sfinansowane od początku swego istnienia, aż do zwinięcia wyłącznie z funduszów M. S. Wojsk.

Zebrawszy ogólną sumę inwalidów, którzy przeszli przez zakład należy przyjąć w przybliżeniu, że:

| | | |
|---|---|---|
| na oddziele umysłowo-kształcącym przeszło | najmniej | 1.226 |
| z tych zakończyło egzaminem swoją naukę . . . . . . . . . . | „ | 600 |
| przez oddział przem. rękodz. i pokrewne działy zajęcia przeszło | „ | 5.128 |
| z których ukończyło naukę w swoim zawodzie . . . . . . . . . . | „ | 3.000 |
| w ostatnich 3 latach wyzwolono w różnych rzemiosłach . . . . . . | „ | 243 |

Ogółem można przyjąć, że przez Zakład przeszło więcej jak 6.354 inwalidów, z tych naukę ukończyło ze świadectwami przeszło 3.600 inwalidów.

Kierownikami wojskowymi kursu przemysłowego byli w ostatnich 3 latach: por. Władysław Skrzyniarz, por. Tadeusz Haniecki, wreszcie por. Józef Jaworski, zaś kierownikami kursów umysłowo-kształc. byli w tym czasie urzędnik wojsk. XI. Adolf Weiss, por. Piotr Brzuchacz i wreszcie por. Józef Jaworski.

Wszyscy ci oficerowie, sami inwalidzi, spełnili swoje obowiązki wobec zaszczytnego zadania, jakie mieli, t. j. wychowania inwalidów.

---

Retrospektywnie biorąc dają się zauważyć w czasie istnienia Zakładu dwa wybitnie odróżniające się okresy, a mianowicie: okres pierwszy to założenie i szybki rozkwit instytucji, który trwa do 1919 r. włącznie, poczem powolny zanik i likwidacja Zakładu.

Do rozkwitu szkoły przyczyniły się przedewszystkiem:

1) zainteresowanie się całego społeczeństwa kwestją inwalidów i zapał w niesieniu pomocy inwalidom. Wyrazem tego było utworzenie Kraj. Komisji Opieki nad inwalidami i innych pokrewnych zrzeszeń.
2) gorące zajęcie się władz wojskowych zakładem,
3) łatwość w uzyskaniu sił pierwszorzędnych do prowadzenia szkolenia inwalidów. Najtęższi fachowcy chętnie poświęcali swe zdolności i wiedzę inwalidom — pobyt bowiem w Zakładzie chronił ich od służby frontowej.
4) Nieograniczone niczem kredyty i świadczenia rządowe na rzecz szkolenia.

Do zaniku zaś Zakładu przyczniły się w pierwszym rzędzie brak zainteresowania się społeczeństwa kwestją inwalidów. Inwalidzi stali się tym balastem niepotrzebnym dla społeczeństwa, przyszły inne troski materjalne, zapanował egoizm powojenny.

Pierwszy czynnik w Krakowie, który okazał ten brak zainteresowania i wprost niechęci do Zakładu był Magistrat i Rada Miejska w Krakowie, która wypowiedziała zajmowane lokale i użyła wszelkich wpływów, żeby zakłady usunąć z gmachów szkolnych dotąd przez inwalidów zajmowanych.

Równocześnie dawał się odczuwać brak ludzi — kierownicy mieniali się jeden po drugim, oficerowie starali się, żeby móc odejść na front, względnie do służby linjowej.

Trzecim zaś czynnikiem, to był brak kredytów. Położenie kraju tak się układało, że wszędzie musiał Rząd zaprowadzić oszczędności, więc i fundusze przeznaczone na prowadzenie szkolenia musiały szczupleć.

Mimo tych trudności Zakład przetrwał do r. 1923 i zostaje przekazanym Min. Pracy i Op. Społ. a przypisać to jedynie należy gorącemu zajęciu się i poparciu Zakładu przez gen. bryg. Franciszka Zwierzchowskiego, Szefa Dep. M. S. Wojsk. i Naczel. Lekarza W. Pol. gorącemu rzecznikowi spraw inwalidzkich płk. lek. Janowi Kołłątajowi-Sprzednickiemu, naczelnikowi Wydz. Sup. Inw. M. S. Wojsk.

Że inwalidzi umieją to ocenić i że rozumieją jakie trudności wojskowość musiała pokonać, żeby Zakład ten tak długo utrzymać i że wiedzą, że żadna władza poza wojskiem nie zajmuje się ich losem, to dali najlepszy dowód urządzając z okazji oddania Zakładu Województwu Krakowskiemu uroczyste pożegnanie swego obecnego komendanta.

W dniu 20 grudnia w odświętnie choinami przystrojonej sali koszar, zebrali się wszyscy obecni wychowankowie inwalidzi, dalej przedstawiciele Związku inwal. i delegacje b. uczniów Zakładu i w gorących, a z serca płynących żołnierskich wyrazach wypowiedzieli swoją wdzięczność za ojcowską opiekę im udzieloną, za okazane im serce i za dane im wykształcenie, które pozwoli im uczciwie na chleb zapracować. Przy tej sposobności wręczyli jako pamiątkę komendantowi cegiełkę na „Muzeum Narodowe" w Krakowie.

---

Władze wojskowe przekazując Min. Pracy i Op. Społ. szkołę inwal. woj. mogą z całą świadomością stwierdzić, że uczyniły wszystko, aby nietylko ulżyć doli inwalidom przez polepszenie i zapewnienie bytu kilku tysiącom inwalidów, ale że spełniły swe posłannictwo wobec społeczeństwa, ktoremu zwróciły jednostki okaleczałe w boju, jako tęgich i kwalifikowanych pracowników i uświadomionych obywateli odrodzonej Ojczyzny.

Co do przyszłości szkoły inwalidów, to Min. Pracy i Op. Społ. pozostaje wdzięczne zadanie zamienienia otrzymanego Zakładu na spółdzielnię rękodzielniczą dla inwalidów. Po wystaraniu się o odpowiedni lokal na warsztaty i internat przyjdzie Min. Pracy łatwo przeprowadzić tę zmianę.

W tym celu wystarczy nie zwalniać inwalidów wyszkolonych, lecz zatrzymać ich jako robotników, którzy swoją pracą będą mogli pokryć koszty utrzymania w internacie.

Takich czeladników wyszkolonych, kształcić i udoskonalać w obranem rzemiośle korzystając z warsztatów miejskiego Muzeum przemysłowego w Krakowie, żeby pracę warsztatów nietylko taniością ale i doskonałością i wykwintnem wykonaniem mogły konkurować z wyrobami na targu miejscowym. Z biegiem czasu liczba wyszkolonych zwiększałaby się—rosłyby i dochody, któremi dzieliliby się wychowankowie Zakładu i rósłby majątek współdzielni, któraby z czasem powinna objąć w swój zarząd cały zakład.

---

# LEGJON POLSKI W TURCJI

(na terenie azjatyckim).

ZE WSPOMNIEŃ OFICERA TEGOŻ LEGJONU TEODORA LAUDYNA.

*Ze wstępem Jana Grzegorzewskiego.*

(dokończenie)

Do gospody tej zaglądali raz na tydzień dwaj kapitanowie, weterani z powstania węgierskiego 1849 r., z korpusu Bema podobno, a później z powstania naszego r. 1863. Mieszkali na Adamówce, gdzie utrzymywali się z polowania, przynosząc upolowaną zwierzynę do Konstantynopola, i tu ją sprzedając. Raz przywieźli dwa zające i trochę ptactwa w podarunku dla legjonów na uroczystość przywdziania pierwszego munduru ułańskiego.

Raz po raz ten i ów z legjonistów biegł do krawców, piłując ich i przynaglając do roboty. Czekano pierwszego munduru z taką gorączkową niecierpliwością, jak 17-letnia panna pierwszej długiej sukni balowej, choć dziś nawet 40-letnie drżą do sukienki krótkiej po kolana. A żeśmy się i my szykowali na bal i taniec ze śmiercią, wesoło nam było na sercu i uśmiechaliśmy się—jak dziecko do obrazka—do tej pierwszej ułanki. Toć gdy posiadacz jej pojawił się w niej w gospodzie, końca nie było oglądaniu munduru. Krawiec Berek obracał jak frygą na wsze strony przebierającego się kolejno w ułankę legjonistę, aby sprezentować i pochwalić dzieło rąk swoich, cmokając językiem i powtarzając co chwila:

— Aj, aj, — cacany jak jenerał!

Icek zafundował bezpłatnie (tak przynajmniej mówił) dla wszystkich po kieliszku szabasówki, a zające i ptactwo kapitańskie oblano dwoma gąsiorami wina.

Gdy wszyscy już ze szwadronu otrzymali upragnioną przyodziewę, ułani z szablami u boku, kaszkietami na bakier rozbiegli się po całym Konstantynopolu, manifestując w ten sposób obecność wojska polskiego pod sztandarem Orła Białego i Półksiężyca osmańskiego. Było nie mało radosnej kokieterji narodowej i młodzieńczej w tem prezentowaniu się:

— Patrzcie, jacy to jesteśmy! — zdawał się każ-

dy z legjonistów mówić do gapiących się wielkiej stolicy Wschodu przechodniów.

A gapili się i oglądali na nich nietylko ciekawi europejczycy, t. z. frankowie, nietylko żywsi grecy i ormianie, ale nawet poważni, powściągliwi, obojętni turcy pytający jeden drugiego:

— Kim o dur (Kto to?)

— Ataj-kazak-my? (Czy to z kozaków (Sadyka)?

— Tit, jok, bu galiba jeni lehli asker (nie, nie, to prawdopodobnie nowy polski żołnierz).

— Demek-Madżar-poloneze (To jest madżarski polak) — poprawiał ten i ów z pretendujących do wiedzy efendich *).

A gdy się pojawili na Gałacie, wybiegły z kryjówek swoich wesołe kumoszki, żydówki polskie, i nęcącym wzrokiem, klaskając w dłonie, wabiły:

— Panie polak, chodź Pan do mnie!

Ale żaden z legjonistów nie poszedł tam w mundurze, niechcąc go profanować. Natomiast ostentacyjnie nim się nadstawiano w oczy wojskowym tureckim. Żołnierze tureccy salutowali tylko wyższych swoich oficerów, począwszy od majora. A że Artuj-bej nosił zwykle na sobie mundur pułkownika wojsk otomańskich i czerwony fez na głowie, więc go, oczywiście, bez wahania salutowano; rzucał on się w oczy tembardziej, że miał całą pierś zawieszoną orderami różnych władców europejskich, azjatyckich i afrykańskich. Na ukłony odpowiadał on zwykłem podniesieniem ręki do czoła, przed baszami, generałami zaś pierwszy składał pełny ukłon wojskowy, przykładając kończyny prawej dłoni do serca, ust i czoła. Ale spotykając innych oficerów, a nawet szeregowców naszych w ułankach i kaszkietach, niewiedzieli wojskowi tureccy — z jaką szarżą, z jakim stopniem mają do czynienia, i wpadali w rozterkę dyscypliny z nieświadomością. Uprzędzali więc ich legjoniści w ten sposób, że szeregowcom i podoficerom patrzyli surowo w oczy, a oficerom nawet jednakowego z nimi stopnia pierwsi oddawali ukłon, przypominając w ten sposób siebie ich uwadze, a zarazem spełniając przez to obowiązek swój grzeczności i wdzieczności za okazaną gościnność.

Gdy nadeszła chwila sprezentowania się seraskierowi, drugi oddział w sile pół kompanji piechoty (40 ludzi) i pół szwadronu jazdy (40 ludzi) przymaszerował galowo przed pałac Seraskieratu i ustawił się w dwóch szeregach. Wyszedł na krużganek Reuf-basza w otoczeniu całego sztabu ministerjalnego. Artuj-bej przystąpił doń z raportem. Zaczem minister pozostawiając szefa legjonu obok siebie, kazał najstarszemu oficerowi oddziału poprowadzić go marszem ceremonjalnym. Na komendę:

— Baczność! Prezentuj broń!—rozległ się brzęk szabel i karabinów przeniesionych z prawego ramienia ku lewemu, zaczem na drugą komendę ustawiono się w czwórki i tak czwórkami z twarzą zwróconą ku Seraskierowi przedefilowano buńczucznie ze sztandarem na czele i z okrzykiem:

— Niech żyje Sułtan! Niech żyje Polska!—(z dodatkiem po turecku):

— Podyszach czok jaszal

Na co Sieraskier salutując oddział i następnie Artuj-beja, dziękował mu:

— Pek aala! Pek aala. Taszekkiur oderim, mirałuj efendi! (Bardzo pięknie, dziękuje panu pułkownikowi) — wrócił do seraskieratu.

* * *

Nadmieniam, że po przybyciu mojem do Konstantynopola zwróciłem na siebie uwagę Artur-beja, który jako szef legjonu mianował mię swoim adjutantem. W tym charakterze powołany do boku jego i do ciągłej z nim styczności, na żądanie jego zamieszkałem w jego domu szczycąc się opieką jego żony, a także życzliwością ich wychowanki, panny Elizy.

*) Odwieczną dla polaków nazwą turecką był wyraz lek (lech), przymiotnikowo lekli (polski), a i jedna z ulic w dzielnicy Pery w Konstantynopolu zowie się dotąd Leh-Sokuk (Polska ulica). Nazwę tę wreszcie zaczęli przyjmować i żydzi polscy, osiadający w Turcji (w przeciwieństwie do Szpaniotów, t. j. żydów hiszpańskich). Sami turcy z początku zwali ich lek-czufuh, lekli czufuh (polski żyd); ale z czasem odrzucono drugi wyraz, i pozostawał tylko pierwszy. Gdy rozbitki z powstańczej w 1849 r. armji węgierskiej (madjarskiej) schroniły się w Turcji, a w ich liczbie i uczestnicy polscy — najpierw pod Widynem i wogóle w Rumelji, — gdy car Mikołaj I zażądał od W. Porty wydania ich caratowi, Sułtan odmówił temu żądaniu; by jednak nie dawać powodu do ciągłych napaści i konfliktów, kazał ich z nad granicy usunąć; jednej części polaków dał berat na grunta w Dobrudży (pełnomocnicy posiadający berat sprzedali go anglikowi i do kolonizacji tam polskiej nie przyszło); a inni przenieśli się nad Bosfor i do Małej Azji. Ze większość wychodźców była madziarską, zwano ich wszystkich madjara i (jak wszystkich innych europejczyków zwą na Wschodzie frankami), a z czasem dla odróżnienia polaków dodawano: poloneze; w ten sposób powstała nazwa Madżar-poloneze, nadawana niekiedy polakom wogóle.



# Międzynarodowe Targi w Poznaniu

## (1 do 8 maja 1927 r.).

1. Poznań, d. 2 maja 1927 r.

Wymownym dowodem zainteresowania, jakie zbudziły tegoroczne Targi Poznańskie, jest obfita korespondencja, która nadchodzi do Dyrekcji Targów (przeciętnie dziennie kilkaset listów) a która wyraża zainteresowanie nietylko zagranicy lecz i całej Polski tegorocznym Targiem. Od Katowic po Kraków, od Krakowa przez Lwów, Wołyń aż do Wilna, pozatem w najbliższym i najdalszym promieniu Wielkopolski i Pomorza organizowane są zbiorowe wycieczki, przez poszczególne Związki gospodarczo-handlowe, Stowarzyszenia kupieckie jak i społeczno kulturalne. Między innymi zapowiedziały przyjazd zbiorowe wycieczki z Zgierza, Warszawy, Łucka. Wycieczki te mają charakter szkolny i doprowadzane są do skutku przez zawodowe Szkoły Handlowe. Dnia 4 b. m. przybywa do Poznania ze Zgierza wycieczka szkolna, składająca się z 42 osób.—W dniach 3-go i 4-go maja przybędzie wycieczka Średniej Szkoły Zawodowej z Warszawy, składająca się z 43 osób, przeważnie abiturjentek tej szkoły. Również i z Łucka przybywa wycieczka 50 osób, organizowana przez tamtejszą Szkołę Handlową, przy porozumieniu z Wołyńskim Oddziałem Polskiej Macierzy Szkolnej. Z Lublina na przeciąg 3 dni od 7-go do 9-go włącznie zabawi w Poznaniu wycieczka Gimnazjum Męskiego w Lublinie, złożona z 36-ciu osób.

* * *

Były minister Skarbu i Poseł Jerzy Zdziechowski nadesłał na ręce Dyrekcji Targu depeszę następujacej treści: „Wysiłek tych wszystkich, którzy świadomi wielkiego celu tak wytrwale budują moc gospodarczą Rzeczypospolitej w świetnych Targach Poznańskich oby był ukoronowany zasłużonym powo-



dzeniem". Poseł Jerzy Zdziechowski z przyczyn od niego niezależnych nie przybędzie do Poznania.

Dyrekcja Targów podaje do wiadomości wystawcom oraz osobom zainteresowanym, że poszczególni przedstawiciele krajów zagranicznych, jak również przedstawiciele Targów Poznańskich na zagranicę, udzielają w biurach targowych odpowiednich informacyj; przedstawiciel Grecji Dyr. Grecko-Polskiej Izby Handlowej w Atenach p. Śliziński, urzęduje codziennie od 10-tej do 12-tej w południe w biurach targowych. Przedstawiciel Targów Poznańskich na obszar Austrji p. inż. K. Brunak, udzielać będzie w dniu 3-go i 4-go maja między godz. 9-tą a 12-tą osobom zainteresowanym wyczerpujących wyjaśnień. Również p. Brunak będzie mógł służyć informacjami w porozumieniu się z austrjackiemi kupcami importowemi w sprawie eksportu nabiału, ziemiopłodów oraz ich przetworów a zapotrzebowania w tym kierunku, jeżeli chodzi o Austrję w stosunku do Polski, są znaczne.

Wszystkie organizacje targowe poszczególnych krajów, również charakteru światowego, w dniu otwarcia Międzynarodowych Targów w Poznaniu, przesłały do Dyrekcji Targów depesze gratulacyjne, wyrażające przekonania, że pokrewna im instytucja odniesie zupełny sukces w tegorocznej organizacji Targów, a tem samem przyczyni się do utrwalenia stosunków obopólnych. Między innemi, przesłała serdeczne życzenia z Jaffy Palestyńsko-Polska Izba Handlowa.

Do wiadomości pp. wystawców podaje Dyrekcja Targów, że delegat z ramienia Ministerstwa Przemysłu i Handlu p. Potkański, udzielać będzie odpowiednich informacyj oraz pozwoleń na towary reglementowane. Biuro wydawania pozwoleń, na te towary czynne będzie codziennie w okresie trwania Targów od godz. 10-tej do 1-szej w południe i od godz. 4-tej do 6-tej po południu w gmachu Administracyjnym na I-szem piętrze.

Zakłady Chemiczne w kieleckiem „Zagożdżon" organizują w dniu 5-go maja o godz. 5-tej popołudniu specjalny pokaz dla osób zainteresowanych i przedstawicieli prasy. Mianowicie eksperymentowane będzie działanie farby przeciwpożarniczej na dwu wielkich strażnicach, umieszczonych na terenie targowym, które podpalone benzyną będą płonęły, stanowią w dniu tym osobną atrakcję na Targach.




## 2. Poznań, d. 5 maja 1927 r.

Tegoroczne Targi w Medjolanie w wielkiej mierze przyczyniły się do zainteresowania sfer przemysłowo-handlowych Włoch, stosunkami gospodarczemi Polski. Udział Polski przedstawiał się na Targach poważnie. Zwracano uwagę na stoisko Targów Poznańskich. Stand urządzony był w pawilonie turystycznym i propagandowym. Sekretarz Związku Międzynarodowych Targów p. Majnoni wyraził się o organizacji i działalności Targów Poznańskich z wielkim uznaniem, powołując się przytem na fakt, iż przemysłowcy i kupcy włoscy coraz więcej skierowują uwagę właśnie na Polskę poprzez Targi Poznańskie. Przy tej sposobności 200 osób zainteresowało się łącznością handlową z Polską i wyraziło chęć bliższego nawiązania stosunków z przemysłowcami i kupcami polskiemi. Bliższych informacyj w tym kierunku udzielają biura targowe (wydz. Zagraniczny).

Według wiadomości, otrzymanych przez Dyrekcję Targów, spodziewać się można wizyty p. posła Lanfranconiego, który przybędzie w tych dniach do Polski wraz z swoim przyjacielem p. inż. Racicem, i wraz z nim zwiedzi Targi. Poseł Lanfranconi jest oddanym przyjacielem Polski. Zbliżeniu gospodarczemu polsko-włoskiemu poświęcił wiele artykułów w prowadzonym przez siebie piśmie „Esportazione Italiano“ a w ostatnim czasie zamieścił kilka artykułów, omawiających znaczenie i rolę Targów Poznańskich, w układzie gospodarczych stosunków międzynarodowych.

---

Dnia 6 b. m. przybywają do Poznania: Minister pełnomocny Stanów Zjednoczonych p. Stetson, minister austrjacki p. Post, minister szwajcarski p. dr. Segesser oraz minister belgijski wraz z małżonką. Przedstawiciele wymienionych państw zagranicznych, akredytowani przy Rządzie Polskim w Warszawie, przybywają do Poznania, celem zwiedzenia tegorocznych Targów. W powyższem wyraża się również stale wzrastające zainteresowanie państw zagranicznych stosunkami gospodarczemi z Polską.

---

## Udział Austrji na tegorocznych Targach Poznańskich.

Udział Austrji w tegorocznych Międzynarodowych Targach w Poznaniu przedstawia się w granicach bardzo aktywnych. Ogółem wystawców austrjackich znajduje się na terenach 39-ciu — z liczby tej wystawia bezpośrednio 28 poważnych firm wiedeńskich i z innych ośrodków Austrji, a 11 firm reprezentują przedstawiciele przebywający w Polsce. Większość eksponatów znajduje pomieszczenie w Pałacu Targowym; demonstrowane są: tekstylja, galanterja skórzana, przemysł artystyczny, artykuły mody, przybory tech-

niczne, samochody i t. p. Trzeba podkreślić, że Rząd austrjacki z wielkiem zainteresowaniem i przychylnością odniósł się do tegorocznych Targów i otoczył sprężystą opieką oraz udogodnieniami wystawców, jak również i przybywających gości, zainteresowanych z Austrji. W porównaniu z innemi stoiskami zagranicy, jak również w porównaniu do lat ubiegłych wytwórczość austrjacka w różnych działach wystąpiła w znacznym stopniu na targach i przedstawia się nadzwyczaj korzystnie i interesująco. Pozatem stosunki handlowe polsko-austrjackie znalazły wybitny wyraz na tegorocznych targach: zawarto szereg tranzakcyj, w dniu 4-go b. m. pewna firma austrjacka poczyniła zamówienia na kilka wagonów terpentyny, inne na masło. W ostatnich dniach przybyła wycieczka austrjackich kupców importerów na Targi, szczególnie zainteresowanych w eksporcie nabiału. Bliższych informacyj udzielają osobom zainteresowanym, zwłaszcza hurtownikom i mleczarniom Biura targowe między 10-tą a 12-tą przed południem i 4-tą a 6-tą po południu włącznie do 10-go maja.

Tegoroczny udział Austrji w Targach Poznańskich przedstawia się, jak można stwierdzić, imponująco. Dowodzi to bliższego zainteresowania Austrji w współpracy handlowo-gospodarczej z Polską. Potwierdza powyższe sam fakt przybycia w dniu 6 b. m. Ministra pełnomocnego Austrji p. Posta. Poza życzliwością Rządu austrjackiego w stosunku do Targów należy podnieść niezmiernie pożyteczną działalność Izby Przemysłowo-Handlowej Polsko-Austrjackiej w Wiedniu oraz p. Ministra Twardowskiego. W znacznej mierze przyczynił się również do zorganizowania udziału Austrji w tegorocznych Targach przedstawiciel Targów Poznańskich na Austrję, p. inż. K. Brunak.

3. Poznań, d. 5 maja 1927 r.

## Jeszcze tylko 4 dni.

Chłodno było podczas otwarcia Targów. Ale nieba łaskawe dały nam następnie dni piękne i ciepłe, tem piękniejsze, że mocny ciepły deszcz umaił obszar Targu w przepyszną szatę zieleni.

To też ruch na Targach olbrzymi. Tramwaje, prowadzące na Targi, przepełnione, a auta, dorożki posuwają się nieprzerwanym ciągiem, tworząc obraz wielkomiejskiego ruchu i wielkomiejskiej stolicy, która to pracując, umie też żyć i umie dawać za pieniądze, które tu zwożą i pozostawiają liczni goście, szereg miłych przyjemności.

Jesteśmy w połowie Targów. Przechodząc wobec stoisk, słyszymy na ogół zdania zadowolonych. O są i bardzo zadowolone. Oczywiście nie brak i mniej zadowolonych. Dziś może jeszcze za rychło ocenić przyczyny ich kwaśnej miny, bo do końca Targów jeszcze pełne dni 4. Ale — tak widzimy — gdy spojrzymy za kulisy, powody leżą po stronie wystawców, którzy albo nie aktualny pokaz wystawili lub też nie umiejętnie go umieścili, lub—co gorsza—wcale go nie rozreklamowali.

A przecież reklama to wielka rzecz. A obok pism codziennych szereg fachowych stało mu do dyspozycji ze „Światem kupieckim“ jako organem Targów na czele.

Pisząc dziś uwagi nasze, pragniemy zachęcić tych, którzy za wygodni, by zdecydować się na wyjazd, zachęcić chcemy tych, którzy staremi metodami pracują, ujrzeć winni nowe środki działania i oddziaływania, by w walce konkurencyjnej nie zostali zepchnęci na tył dalszy.

I drobny kupiec z Kartuz lub Poniecа ma wszelki interes, by przyjechać na Targi i zobaczyć, z jakich źródeł kupuje też jego hurtownik, jakie też ceny on płaci i czy jego ceny stoją w stosunku godziwym do cen hurtowych, a zatem czy jego kalkulacja drobnicowa jest słuszna i wytrzymuje konkurencyjną kalkulację. Te same przyczyny oddziaływać winny i na rzemieślnika, który znajdzie tu wiele pouczającego materjału, ale i wiele źródeł zakupu dla siebie, zakupów nowości, że tylko wspomnimy o przemyśle elektrotechnicznym, radjowym, automobilowym, rowerowym i t. d..

Moglibyśmy litanję rozszerzyć i na inne warstwy, zwłaszcza, że organizacje handlowe, rolnicze — nie mówiąc o rolnikach jako takich, znajdą bogate źródło informacji i wiedzy, wiedzy, której służyła też ta część Targu, która informuje o wydawnictwach polskich i zagranicznych.

A że Targi są pochodem między stoiskami, których wystawcy ź anielską często cierpliwością tłomaczą, wyjaśniają i informują — nawet nie interosowanych (którzy winni nie zabierać drogiego czasu)— więc zapraszają do odpoczynku na wystawie lokale odpoczynkowe z pięknym Belwederem na czele. A w mieście odświeżysz się, czy to w operze, czy w teatrze, gdzie najsławniejszy nasz artysta Solski zachwyci cię w „Fryderyku Wielkim“ lub w „Carze Pawle“. A gdy chcesz i pośmiać się, to poza różnemi kabaretami, szampańska Zula Pogorzelska — ta perła polskich subretek — do niedzieli włącznie rozweseli cię iskrami swego humoru i tańca. I najbardziej zgorzkniały, stetryczały po zwiedzeniu Targów wróci do domu odświeżony, podniecony do życia do pracy. Na długie dni i tygodnie będzie mile wspominał swą wycieczkę na Targi, gdzie się pouczył, gdzie wiele skorzystał i gdzie się też rozweselił, skąd jednym słowem, wrócił nie bez korzyści do domu.

Należy więc korzystać z dni ostatnich i nie odsuwać terminu przyjazdu na ostatnie chwile, gdy będzie już za późno i żal nastąpi po niewczasie.

Jeszcze jedno. Przyjechać należy z żoną, by i ona, towarzyszka pracy, z pokazów targowych korzyści czerpała i by i ona się rozweseliła, pomnąc, że podwójnie się raduje, kto razem się raduje.

---

## Wycieczka Turecka na Targach.

Dnia 6 b. m. przybyła do Poznania wycieczka z Turcji, składająca się z 6-ciu osób. W skład wycieczki wchodzą wybitni przedstawiciele życia handlowo-przemysłowego Turcji. W wycieczce biorą udział: pp. Hassib Bey, były generalny dyrektor Departamentu Rolnictwa, prof. Akademji Roln. i przedstawiciel firmy „Unja“ z Grudziądza w Turcji. Mahmamer Bey — komisarz Ministra Przemysłu i Handlu,

Burhan Bey — redaktor dziennika „Miljetu“ i wiceprezes Komitetu Igrzysk Olimpijskich, Sadi Bey—wiceprezes Towarzystwa do Handlu z Turcją oraz Nazdet Essaiu Bey. Wycieczce towarzyszą p. Vetulani, radca handlowy oraz p. Zakrzewski, przedstawiciel przemysłu polskiego w Turcji. Wycieczka zwiedziła Targi Poznańskie. Goście tureccy wyrażali się z uznaniem o organizacji Targów i nie mogli wyjść ze zdziwienia, że polski przemysł oraz życie gospodarcze tak dzielnie się rozwinęły i tak reprezentatywnie w wielu działach wystąpiły na Targach. Podczas zwiedzania Targów poruszono szereg spraw, mających na widoku tranzakcje handlowe i podniesiono, iż polska wytwórczość na terenie Turcji ma szerokie pole do rozwinięcia się pod względem handlowym.

Jak wiadomo, udział Turcji w tegorocznych Targach przedstawia się bardzo konkretnie. Turcja mianowicie wystawia na osobnym stoisku liczne eksponaty: dywany, tytonie, kość słoniową, wyroby artystyczne i t. p. Poraz pierwszy na Targach Poznańskich Turcja zajmuje miejsce widoczne i godne zwrócenia uwagi.

Goście tureccy podkreślali podczas zwiedzania Targów konieczność dalszego obopólnego nawiązania stosunków handlowo-gospodarczych między Polską a Turcją, widząc w tym rękojmię dalszego pogłębiania przyjaźni i wzajemności obu krajów. Z Poznania wycieczka turecka wyruszy na zwiedzenie dobrze zagospodarowanych majątków w Wielkopolsce i na Pomorzu. Między innemi projektowany jest wyjazd do Grudziądza. Gości tureckich Dyrekcja Targów podejmowała obiadem w dniu 6 b. m. w salach restauracji „Belweder“.

---

Jugosławja okazuje znaczne zainteresowanie tegorocznymi Targami. Dowodem tego pozą przyjazdem kilku gości jugosłowiańskich jest również zapowiedziany przyjazd p. Dr. Konrada Vodusexa z Ljubljany, który przybywa w charaktrze reprezentanta Targów w Ljubljanie.

Przemysł średni, drobny i rękodzieło na Targach wystąpiły w osobnych stoiskach. Zwracają uwagę maszyny piekarskie, rzeźnickie, warsztaty różne drobnej wytwórczości. Poza zainteresowaniem się przemysłu średniego tegorocznymi Targami, jak również i jego przedstawicieli, świadczy fakt, iż dnia 5 bm. przybył do Poznania Dyr. Patronatu Rękodzieła i drobnego przemysłu we Lwowie p. Dr. Schoennet.

---

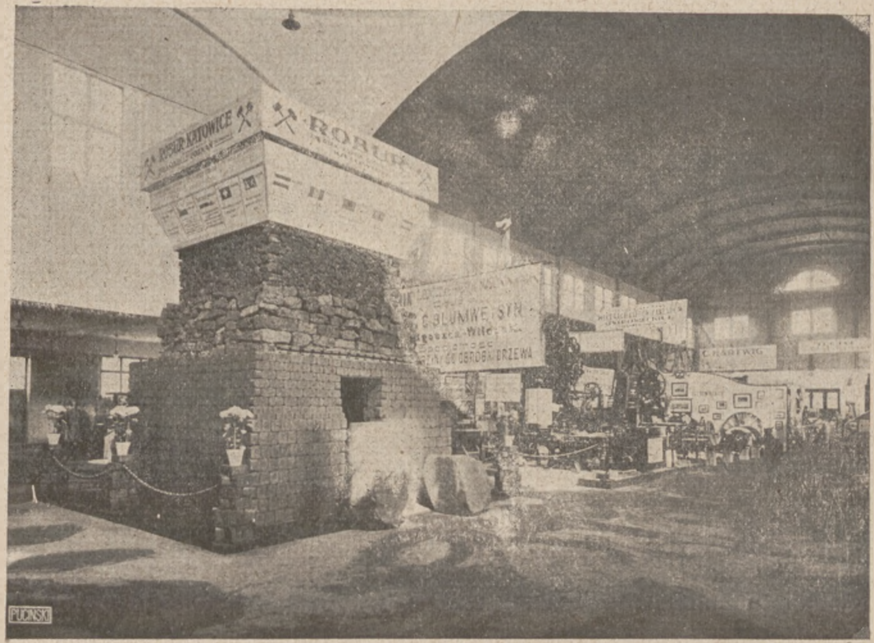
Do biur targowych a zwłaszcza do Wydziału Zagranicznego napływają liczne zapytania zarówno ze strony zagranicznych przemysłowców i kupców jak i przedstawicieli firm polskich w sprawie wejścią w porozumienie handlowe. Bliższych informacyj udziela w tym zakresie Wydział Zagraniczny. Podać można ogólnie, iż wchodzą w rachubę Austrja, Grecja, Jugosławja, Francja, Belgja, Stany Zjednoczone oraz inne kraje w granicach nawiązywania łączności eksportowej i importowej.

Bawi w Poznaniu minister pełnomocny Belgji p. D'Escailles, który przybył celem zwiedzenia Targów oraz obszernego zbiorowego stoiska belgijskiego. Jak wiadomo, Belgja występuje na Targach Poznańskich łącznie z eksponatami z własnych kolonij.

---

## Polonja Amerykańska nawiązuje serdeczną łączność z krajem.

Przedstawiciele Polonji amerykańskiej przy dzielnem poparciu i ujęciu organizacyjnem naszych reprezentantów placówek poselskich i konsularnych w Stanach Zjednoczonych zdołali wejść w ścisłe porozumienie z poszczególnemi firmami, wystawiającemi na Targach Poznańskich. O ile chodzi o rynek amerykański, zapotrzebowania na odpowiednie towary polskie mogą przedstawiać się w formach znacznych i korzystnych. Trzeba nadmienić, że zabiegi konkurencji niemieckiej w silnym wyrazie zmierzają do ubiegnięcia możliwości współpracy handlowej między Polską a Stanami Zjednoczonemi. Podczas pobytu przedstawicieli Polonji amerykańskiej zainteresowano się szczególnie przemysłem artystyczno-ludowym, zwłaszcza wyrobami łowickiemi, meblowo-koszykarskim i t. p. Pozatem poruszono sprawę gremjalnego udziału Polonji amerykańskiej w Powszechnej Wystawie Krajowej w roku 1929. Przedstawiciele Polonji amerykańskiej zapewnili, że można liczyć z pewnością na liczny udział rodaków z za Oceanu w tej imprezie i zorganizowaniu wielkiej zbiorowej wycieczki do Polski w r. 1929. Prócz tego poruszono kwestje, mające na celu pewne zużytkowanie finansowych funduszów, w których wziełaby poważny udział Polonja amerykańska, w zakresie różnych inwestycyj, mogących zaważyć w znacznym stopniu na rozwinięciu się wielu działów, przedsiębiorczości kra-



jowej. Porozumienie to znajdzie niezadługo bliższe konkretne ujęcie.

Należy stwierdzić, że podczas swego pobytu przedstawiciele Polonji amerykańskiej stale podkreślali konieczność utrzymywania systematycznej i celowej łączności z krajem. O Targach Poznańskich wyrażano opinję pełną uznania i zadowolenia. Można spodziewać się, że dzięki pobytowi naszych rodaków z za Oceanu odtąd prowadzona będzie realna akcja współpracy w kierunku utrzymania serdecznych stosunków między polską emigracją w Stanach Zjednoczonych, a naszem społeczeństwem.



Zaledwie zamknęły się podwoje Targów Poznańskich, a już nowe pokazy zaprzątają umysły energicznej Dyrekcji Targów. Bo czyż to nie wyczerpująca była praca już nietylko organizująca Targi, ale je przeprowadzająca w sam czas ich trwania, gdy tysiące interesantów przesuwały się przez biura Dyrekcji. I otóż jeszcze nie ochłonęła Dyrekcja z pod wrażeń targowych, a już nowy pokaz ujmuje w swe ręce energicznie i przeprowadza. A mianowicie—Wystawę Pożarniczą.

Jak wiadomo odbędzie się w Poznaniu od 26—29 czerwca ogólno-polski Kongres Pożarniczy, organizowany przez Centralny Związek Straży Pożarnych, mający swą siedzibę w Warszawie, kongres, który zaszczyci swą obecnością Pan Prezydent Rzeczypospolitej Mościcki.

Z tej okazji wystąpił Centralny Zarząd do Dyrekcji Targów z prośbą, by na terenie Targu zechciała zorganizować pokaz pożarniczy. Dyrekcja Targów z całą gotowością myśl tę podjęła, wychodząc z założenia, jak ważne społeczne zadanie ma taka wystawa. Trzeba bowiem zważyć, że na olbrzymich obszarach naszej Rzeczypospolitej — szczególnie na jej Kresach Wschodnich — służba i ochrona przeciwpożarowa jest jescze w powijakach, że nie tylko po wsiach, ale i po miasteczkach (a nawet po miastach większych) posługuje się w akcji ratunkowej prymitywnemi środkami ratunkowemi, gdy tymczasem za stosunkowo tani pieniądz może zyskać nowoczesne środki ratunkowe i ochronne. Trzeba też i o tem pamiętać, że w wielu dziedzinach i nasz przemysł, wytwarzający środki przeciwpożarowe i t. d., jeszcze wiele potrzebuje inicjatywy, poglądowej nauki i bezpośredniej zachęty, by tę gałęź przemysłu nietylko rozwinął, ale i udoskonalił i udostępnił w najszerszym zakresie.

Otóż w tym kierunku pedagogicznym z jednej strony, a twórczym z drugiej ma oddziaływać Wystawa Pożarnicza, która na terenie Targów Poznańskich trwać będzie od 22 — 29 czerwca 1927 r.

Pokaz ten będzie miał siłą rzeczy charakter międzynarodowy—z przyczyn, które już wyżej wyłuszczyliśmy. Dyrekcja bowiem chcąc unacznić wszystkim zainteresowanym poziom wszelkich środków przeciwpożarowych, zgłosiła się do zagranicy z wezwaniem, by w pokazie tym wzięła udział. Zagranica już czynnie i pozytywnie zareagowała, zapowiadając już w własnym interesie liczne obesłanie wystawy. Nawet mała Szwajcarja, mająca niewielki przemysł, ale charakterystyczny dla swych specjalnych warunków górskich, bierze w pokazie tym udział.

Będziemy tedy mieli na wystawie pożarniczej istotny pogląd, z którym zapoznawszy się, wrócą nasi dzielni strażacy do domów, by tam, zreorganizować, zmodernizować obronę i akcję przeciwpożarową i tak spełnić dla ochrony majątku narodowego wielkie i zbożne dzieło pozytywne.

Jest tedy w tych warunkach wystawa ta istotnie dziełem wielkiem o trwałej wartości na bliższą i dalszą przyszłość. Nie godzi się też wątpić, że usiłowania Dyrekcji uwieńczone zostaną pomyślnym wynikiem zwłaszcza też, że cały Związek stanie jak jeden mąż do apelu kongresowego, z racji którego odbędą się też pokazy sprawności o nagrody. Pokazy te będą dalszym czynnikiem poważnym na Wystawie Pożarniczej, gdy pokażą nam, co umiemy, a czego jeszcze nauczyć się nam trzeba, by w walce z żywiołem ogniowym ujarzmiać go najnowszemi, najprostszemi i najskuteczniejszemi metodami.

Oczywiście, że w wystawie bierze udział cały też przemysł i handel pomocniczy, mniej lub więcej ściśle związany z przemysłem pożarniczym i akcją naszych Straży Ogniowych.

I zrozumiecie teraz tytuł naszego artykuliku, tytuł mający tem większe uzasadnienie, że poza wystawą pożarniczą, myśl Dyrekcji zaprząta i dalsza: myśl wystawy hotelowo-restauracyjno-kawiarnianej z jej wszechstronnym przemysłem, wystawy zapowiedzianej na początek października (1—16-go).

Godzina po zamknięciu Targu.

Targi zamknięte. O szóstej godzinie gwizd przeciągły syren, motorów i t. d. tłumom zebranym dały znak, że tegoroczne siódme Targi zakończyły się.

Oczywiście, w tej chwili trudno wypowiedzieć

ostateczne zdanie o wyniku pozytywnym Targu. To jedno pewne, że wystawcy są zadowolnieni, szczególnie przemysł rolniczy, automobilowy, tekstylny, chemiczny, spożywczy, papierniczy, robiły bardzo poważne obroty, których zestawienie ścisłe wykaże ponownie istotną ważność i doniosłość Targów Poznańskich. Znamieniem Targów tegorocznych był szczególnie liczny zjazd tak z kraju jak i zagranicy. Były wycieczki z całej Polski, z zagranicy zaś stawili się Czesi, Turcy, Jugosłowianie, Rumuni, Niemcy, Austryjacy, Estończycy, Szwedzi, Duńczycy, Belgijczycy, Francuzi, Anglicy, Amerykanie, Japończycy i t. d. I zaznaczyć należy, że przybyli nietylko przedstawiciele dyplomatyczni i konsularni danych krajów, ale co najważniejsze, kupcy i przemysłowcy. Poraz pierwszy zdarzyło się zapewne, że Targi wogóle, a Poznańskie w szczególe odwiedził też wysoki dostojnik kościoła jak Kardynał-Prymas Anglji. Przybył on w towarzystwie księdza Prymasa Hlonda i uderzony wrażeniem, które Targi na nim wywarły, zapowiedział, że dołoży w miarodajnych kołach wszelkich starań, by Anglja zainteresowała się wydatnie Targami i by na przyszły rok obok Francji, Belgji i Szwajcarji, które, jak wiadomo, wystąpiły z własnemi eksponatami, nie brak było i angielskiego przemysłowca i angielskiego kupca. Jak wielki był udział zagranicy, świadczy nietylko ruch na wystawie, ale wielojęzyczny rozgwar, który przez cały ten tydzień panował na Targach. Dzięki umiejętnej organizacji działu propagandowego i zagranicznego, na czele którego stoi p. Zaboklicka i p. Lipska, wszyscy ci goście z zagranicy czuli się zupełnie zadowolnieni, bo znajdowali na wszystkie pytania wyczerpujące wyjaśnienia i odpowiedzi w swoim ojczystym języku, dzięki temu, że w dziale tym stało Dyrekcji wielu chętnych do pomocy.

A że krajowi w całej pełni czerpali z informacyj, których im udzielały z całą gotowością biura Dyrekcji, nie ulega żadnej wątpliwości, że moralny efekt Targów jest bezwzględny, a za moralnym — i materjalny.

## Wyniki tegorocznych Międzynarodowych Targów w Poznaniu.

Tegoroczne Targi Poznańskie, jak wiadomo, zakończyły się poważnym i pełnym rezultatem, zarówno pod względem organizacyjnym, jak i zakresu działania. Wymownym tego dowodem są zestawienia statystyczne opracowane przez poszczególne wydziały biur targowych. Narazie jeszcze ze względu na obszerny materjał nie zostały dane cyfrowe doprowadzone do końcowych zamknięć. Z pozycyj jednak niektórych statystycznych wynika już, że tegoroczne Targi w porównaniu do lat ubiegłych zaznaczyły się znacznym procentowo powodzeniem, gdy chodzi o udział czy to wystawców zagranicznych, czy krajowych, czy wreszcie o wyposażenie poszczególnych działów w wszechstronnie obesłane eksponaty; o ile chodzi o planowość i rozmieszczenie wystawców, Targi nie pozostawiały nic do życzenia.

Najlepszym materjałem informacyjnym, mówiącym między innemi również o powodzeniu Targów, mogą posłużyć sprawy związane z transportem eksponatów. W tym kierunku wykonano bardzo odpowiedzialną pracę w szerokim zakresie, która spotkała się z ogólnem uznaniem. Wystarczy podać szereg tylko cyfr.

Oficjalnym ekspedytorem targowym była firma C. Hartwig S. A.; podczas gdy w r. 1926 firma ta zwiozła eksponatów na ogólną sumę 307 ton, w r. 1927 ogólna cyfra przedstawiała się 760 ton. Ogólna ilość przesyłek w r. 1926 wynosiła 398, a na ostatnich Targach 809. W tej ogólnej liczbie było przesyłek krajowych w r. ubiegłym 319, w r. bieżącym 520; podczas gdy zagranicznych w r. ub. było 79, a w r. bież. 289. Suma zakredytowanego cła na przesyłki zagraniczne wynosiła w r. ubiegłym 124,000 zł., natomiast w r. bieżącym sięgała ponad 500,000 zł.

Trzeba podkreślić, że transport eksponatów targowych funkcjonował nadzwyczaj sprawnie zarówno w okresie przedtargowym, jak i w czasie zamknięcia Targu. Zwróciło to ogólna uwagę w dniu zamknięcia Targu, gdy dzięki zwartej i sprężystej organizacji w ciągu dwu godzin dokonano likwidacji eksponatów z terenów targowych w niektórych działach z wzorowym porządkiem i w szybkiem tempie.

Ze wszystkich stron zarówno z kraju jak i zagranicy, wpływają do Dyrekcji Targów ze strony wystawców i osób zainteresowanych tegorocznemi Targami słowa podzięki i uznania za uruchomienie i organizację całego aparatu pracy na terenie targowym, jak w biurach targowych. Między innemi belgijskie Ministerstwo dla Kolonji wystosowało odręczny list do Dyrekcji, w którym przesyła wyrazy sympatji dla Targów oraz uznania za inicjatywę i starania okazane przy zorganizowaniu osobnego stoiska Congo-Belgja. O wystawie eksponatów belgijskich cała prasa polska jak i zagraniczna wyrażała się, jak wiadomo, z pełnem uznaniem.

# JAK RZĄD PRZEPROWADZA REWIZJĘ KONCESYJ.

W dniu 27 grudnia 1924 r. wyszło rozporządzenie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w przedmiocie rewizji uprawnień (koncesyj) na sprzedaż przedmiotów, objętych monopolem skarbowym. Na podstawie tego rozporządzenia winny przejść najdalej w ciągu dwóch lat wszystkie koncesje w posiadanie osób uprzywilejowanych, a mianowicie:

§ 1.

lit. a) w posiadanie inwalidów wojennych oraz wdów i sierot po inwalidach wojennych, tudzież po osobach wojskowych, zaginionych w toku i skutkiem działań wojennych lub osób wojskowych, o ile te osoby byłyby zostały jedynymi żywicielami swych rodzin;

lit. b) wymienia emerytów państwowych i wojskowych, weteranów z powstania r. 1863 oraz zasłużonych żołnierzy zdemobilizowanych Wojska Polskiego i innych uczestników walk o niepodległość w latach 1914 — 1921;

lit. c i d) wymienia wdowy i sieroty po funkcjonarjuszach państwowych i samorządowych oraz instytucje społeczne i humanitarne.

Celem rozporządzenia jest, by powyżej wymiemienionym w pierwszym rzędzie dać możność samodzielnej egzystencji, a powtóre, by odciążyć Skarb Państwa przez niawypłacanie rent inwalidzkich tym koncesjonarjuszom, których dochód przewyższa ustawową wysokość renty inwalidzkiej, jaką pobiera (tu trzeba dodać winien pobierać) 100% inwalida wraz z wszystkiemi dodatkami.

Zatem rozporządzenie bardzo celowe, gdyż odciąża Skarb Państwa i tworzy uczciwy i samodzielny warsztat pracy dla tych, którzy w obronie Ojczyzny stracili swą egzystencję czyto przez nabyte kalectwo wzgl. utratę żywiciela.

Lecz jak rozpoczęły przeprowadzać rewizję koncesyj władze do tego powołane? Nasamprzód trzeba wiedzieć, że w ciągu dwóch lat prawie że rewizji nie było. Natomiast obecnie, gdy przedłużono czas do przeprowadzenia rewizji o dalsze półtora roku, t. j. do 30 czerwca 1928 r., to rewizję się tak przeprowadza, że bodaj wszyscy mogą otrzymać koncesje za wyjątkiem właśnie inwalidów, np. Horowitz i t. p. Jeżeli zaś zawakuje gdzieś wakans na hurtownię tytoniu, to uprzywilejowani mogą się o nia ubiegać, lecz w drodze licytowania się wminus. Co sprowadza do tego, że jak dotychczasowi nieuprzywilejowani zarabiali na takiej koncesji od $3^1/_2$% do 4% prowizji, to inwalidzi mogą tylko jeden procent zarabiać. Niezależnie jeszcze od tego bardzo często otrzymuje taką koncesję ktoś inny, który cieszy się specjalnemi względami tak zwanej komisji przy Min. Skarbu, która to właśnie tą tak przeprowadza.

Według rozp. Min. Skarbu z dn. 7 lipca 1925 r. może na 500 wzgl. 600 mieszkańców być utworzony 1 sklep det. sprzedaży tytoniu. Zatem na 100 palaczy tytoniu jedno miejsce sprzedaży. Jeżeli się zważy, że przeciętnie kupuje 1 palacz za 50 groszy tytoniu wzgl. papierosów dziennie oraz Państw. Monop. udziela detal. 9% prowizji, więc mamy odrazu wyliczone, że brutto zysku wynosi miesięcznie 122,50 zł. Z tego musi opłacić taki koncesjonarjusz podatki państwowe, dzierżawę lokalu oraz co gorsze zaprzestaje się wypłacać rentę inwalidzką i to wbrew Ustawie Inwalidzkiej art. 26 lit. p.

Więc nic dziwnego, że na samoistne sprzedaże det. niema reflektantów i koncesje te otrzymują również nieuprzywilejowani, którzy prowadzą sprzedaż det. wraz z innemi towarami jako dodatek do swego przedsiębiorstwa sklepowego.

A teraz przejdźmy do koncesyj na napoje alkoholowe. Na samym wstępie trzeba zaznaczyć, że mimo udzielenia w kilkunastu miejscowościach koncesyj osobom uprzywilejowanym, to jednak prawie, że nigdzie, dotychczas nie odebrano koncesyj osobom nieuprzywilejowanym. Skutek wobec tego jest taki, że inwalida otrzymanej koncesji albo nieuruchomi z braku poddzierżawienia odpowiedniego lokalu wzgl. gdy ma lokal i koncesję uruchomił, to zgóry skazany jest na wegetację, gdyż właśnie ta koncesja jest wydana jako nadliczbowa.

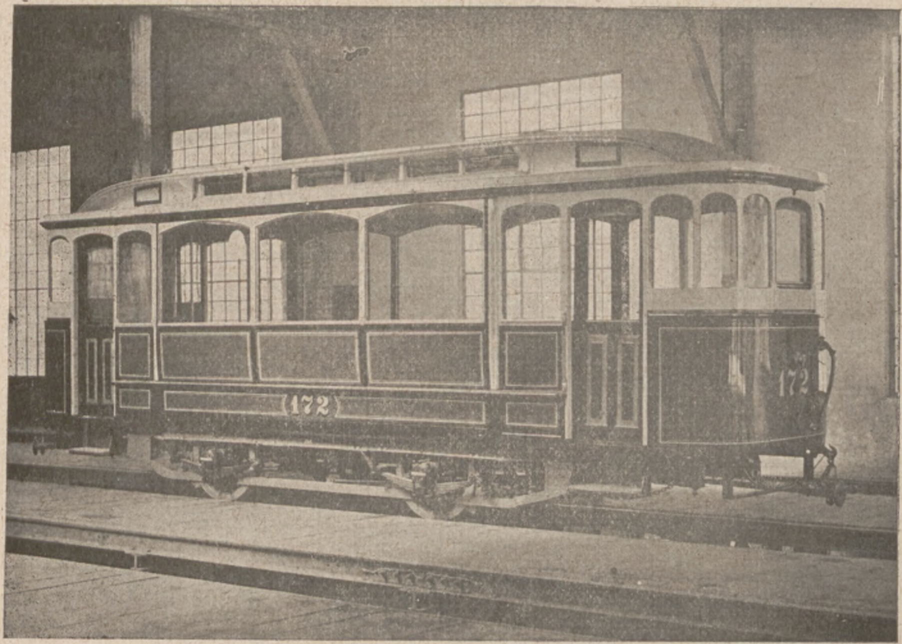
Więc sposób dotychczasowy winien i musi ulec zmianie. Uprzywilejowani nie mogą być gorzej traktowani i na gorszych warunkach otrzymywać koncesyj, niż dotychczasowi koncesjonarjusze nieuprzywilejowani. Rozporządzenie Pana Prezydenta Rzeczyp. nie poto wydane zostało, by je w ten sposób obejść. Gdy się mówi, że zainteresowanemi w powyżej przytoczonym sposobie przeprowadzania obecnie rewizji koncesyj są ludzie niewiadomi, to złośliwie mówią, że sposób obecny przeprowadzania rewizji koncesyj podyktowali bogaci dotychczasowi koncesjonarjusze. Wobec tego czas wielki, by tą rewizją jednak zainteresował się w pierwszym rzędzie sam Pan Minister Skarbu, zaś w imię prestiżu samego Państwa winien również wiedzieć o tem Pan Prezydent Rzeczypospolitej.

Nie można bowiem dopuścić do tego, by sprawy inwalidzkie mogły być lekceważone. Kto chce inaczej, ratuje tylko własne manatki na tonącym okręcie.

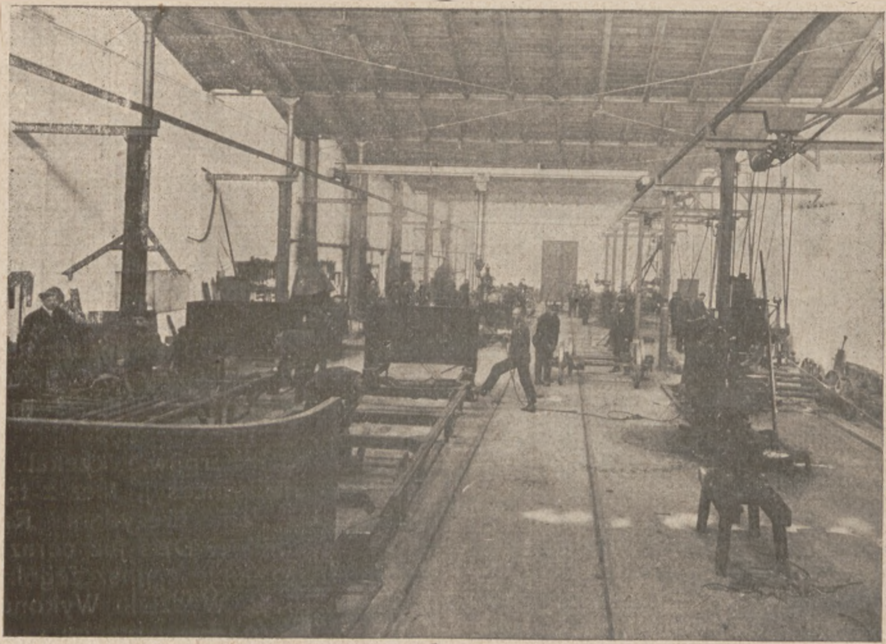
Inwalidzi cierpliwie czekali z górą całe dwa lata na rewizję koncesyj, lecz z tą pewnością, że rozporządzenie Pana Prezydenta Rzplitej w całej pełni będzie wykonane. Dziś już coraz częściej napływają wnioski i rezolucje z poszczególnych ogniw Zw. Inw. Woj. Rz. P. do Wydziału Wykonawczego i żądają od swego Zarządu Głównego, by rewizja koncesyj w całej pełni wykonana została, t. j. żeby wszystkim nieuprzywilejowanym koncesje zostały w myśl rozp. P. Prez. Rzplt. z dnia 12. XII. 24 r. cofnięte i nadane osobom uprzywilejowanym na warunkach, na jakich posiadają koncesje dotychczasowi nieuprzywilejowani wraz z zachowaniem Ustawy Antialkoholowej z dn. 23 kwietnia 1920 r.

# Poznańska Kolej Elektryczna.

T-wo przyjęło w roku 1896 istniejące od 1880 r. konne tramwaje i uruchomiło pierwsze 3 linje elektrycznego tramwaju w r. 1898. w tym roku kursowało 25 wagonów motorowych i 10 przyczepnych; pasażerów przewieziono 3,227,885. Torów było 16,56 kilometr.



Wagon przyczepny wybudowany w warsztatach P. K. E.



Budowa podwozia.

W roku 1923 nabył Magistrat miasta Poznania 75% wszystkich akcyj, przedsiębiorstwo zaś jest nadal prowadzone joko T-wo Akcyjne, którego Rada Nadzorcza składa się z 9 członków, z nich 6-ciu przedstawiciele miasta. Skład Rady Nadzorczej jest następujący: Prezydent miasta Poznania C. Ratajski prezes; L. Cichowicz radca prawny i zastępca prezesa inż. Ballenstedt radny miasta; Cz. Bugzel radny miasta; Dr. Z. Głowacki radca miejski, J. Piechowski radca miejski; S. Samulski prezes Zarządu; H. Cegielski; Sułowski dyr. Tow. „Siła i Światło"; B. Wybieralski, radny miasta.

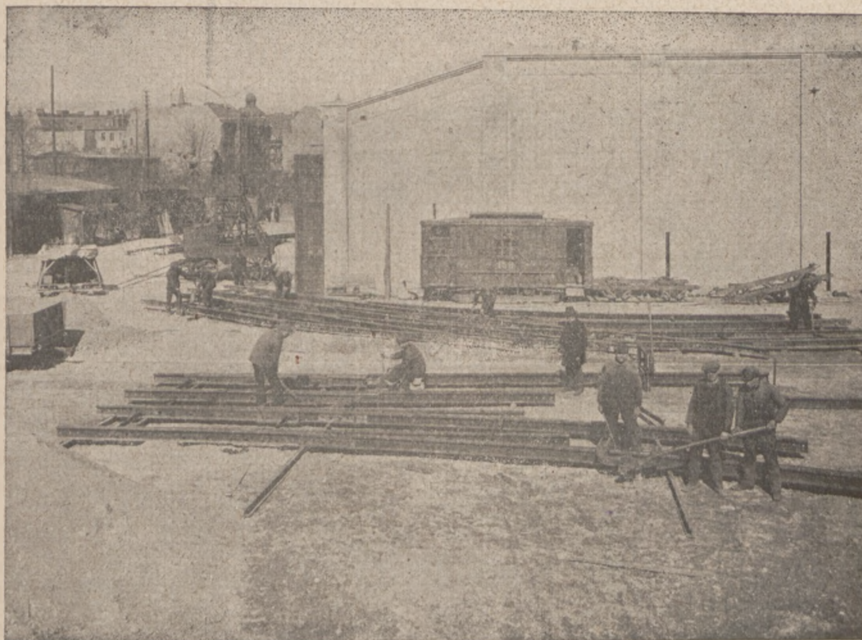
Dyrektorem przedsiębiorstwa jest od 1-go stycznia 1921 r. inż. p. Nestrypke.

Od chwili wykupu akcyj przez Magistrat przedsiębiorstwo rozwija się szybkim tempem. Od tego czasu zostały powiększone warsztaty o powierzchni około 3000 metr. kwadr.

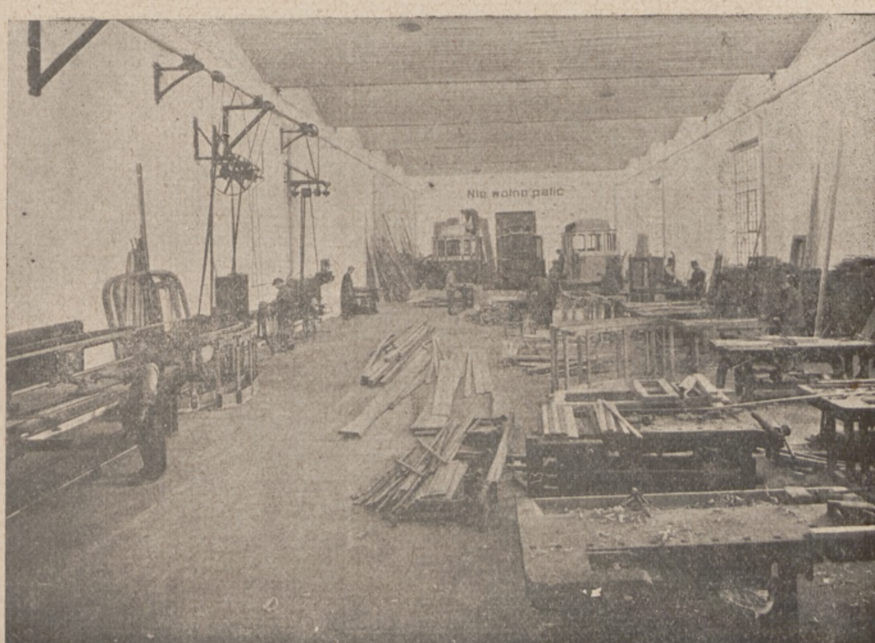
i wyposażono je nowemi maszynami; urządzono podstację z prostownikiem rtęciowym na 600 Am. 600 Volt; wybudowano garaż na 20 autobusów; wybudowano nowych torów na odległości 9 klm. kupiono 14 nowych wagonów motorowych, wybudowano we własnych warsztatach 12 wagonów przyczepnych; zaprowadzono ruch autobusowy na razie z 5-cioma autobusami, dalsze autobusy wkrótce nadejdą; kupiono autobus wieżowy do reparacji sieci i szereg gospodarczych wozów. W roku 1926 przewieziono pasażerów: 26,338,669, przejechano wagonokilometrów 4,181,186,8.

Od czasu wojny światowej wypłaciło Towarzystwo po raz pierwszy dywidendę dla swoich akcjonarjuszy w wysokości 6%.

Prócz tego przeprowadzono bardzo poważny i gruntowny remont technicznych urządzeń, które od chwili wybuchu wojny były w zaniedbaniu.



Roboty torowe.




Stolarnia.

Wybudowano 3 nowe domy mieszkalne na 30 mieszkań, przyczem 1 dom przeznaczony na cele kulturalno-oświatowe dla pracowników tramwajowych, mieści on: salę na 300 osób, szereg ubikacyj dla ćwiczeń chóru i orkiestry tramwajowej i ubikacji dla laboratorjum psychotechnicznego.

(—) P. **NESTRYPKE** Dyrektor Pozn. Kolei Elektr.